ŻYCIE

Cena 6 d

„Life“
Catholic Weekly

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

ROK 1 — Londyn, 10-16 sierpnia — NR. 13

Paweł JASIENICA

DE PROFUNDIS

W ŻYCIU (Nr. 11) zamieściliśmy w „Przeglądzie Prasy” notatkę o głośnym reportażu Pawła Jasienicy ze szpitali chorób wenerycznych. Reportaż zamieścił krakowski „Tygodnik Powszechny” w numerze z dnia 6 lipca b. r.

Choroby weneryczne, to jedna z naczelnych klęsk, naszego kraju. To już niemal katastrofa, o której mamy obowiązek wiedzieć.

W Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie panował dziwnie lekkomyślny i pozbawiony godności stosunek do spraw seksualnych. Również w polskich obozach cywilnych była to jedna z najczarniejszych spraw.

Poniżej — ze względu na powszechnie polską wagę zagadnienia, podajemy reportaż znakomitego publicysty. Niech pobudzi do zastanowienia i — rachunku sumienia. (Reportaż dajemy z pewnymi skrótami).

R e d a k c j a

„Panie, kto zgrzeszył, on czy rodzice jego?“ (Joan. IX. 2)

Za bramą szpitalną zaczyna się prawo surowego ekshibicjonizmu. Mają mi tu być pokazane tajemne, najbardziej wstydliwe sprawy ludzkiego ciała. Nie będę ukrywał — bałem się. Zarówno tego, co mi tu zademonstrują, jak i bezlitosnej lekarskiej rzeczowości, za którą trzeba będzie nadążać. Trzeba koniecznie. Istnieje bowiem absolutny przymus moralny opowiedzenia o tym, na co dzień w dzień patrzą oczy lekarzy i z czym walczą ich mózgi i ręce. Tedy patrzymy.

Od kołyski — poza grób

Do lekarskiego gabinetu wchodzi młoda, bardzo nawet młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Kładzie je na stole i rozwija. Dziesięciomiesięczny chłopaczek, buźkę ma miłą i ładny, już zindywidualizowany profil. Niebieskimi oczkami uważnie ogląda otoczenie. Niemowlęcym obyczajem podkurczył kolanka ku brodzie. A teraz lekarz każe matce ująć owe kolanka i rozchylić. W fałdach skóry krocza kilka czerwonych, wyrazistych guzów i krost.

Ten chłopaczek zaraził się od matki. Chory jest na kiłę. I co tu owijać w bawełnę, używać słów nie wszystkim może zrozumiałych. Wiedzcie więc, że chodzi o s y f i l i s. Właśnie. — Po to mnie tu do szpitala wpuścili, a teraz fatygę sobie zadają i czas tracą, bym mógł opisać, co widziałem.

Następna pacjentka ma kilkanaście miesięcy. Leczenie zaczęto później, choroba zdążyła już poczynić znacznie większe postępy.

Tych dwoje to są reprezentanci *legionu* dzieci polskich zakażonych na progu życia. Tłumaczą mi wyraźnie, że tutaj chodzi o zarażenie przez chorych rodziców — nie zaś o dziedzictwo. Dziecko przyszło na świat zdrowe i zaraz — po kilku miesiącach... Jedno przynajmniej dobrze, iż choroba uchwycona została przez lekarzy w pierwszych tygodniach. Bo bywają i sprawy całych lat.

Bywa tak, bywa i inaczej. Tutaj znowu mamy inny wypadek kiły. Zakażenie nastąpiło przed laty, co najmniej dwudziestu, a chora osoba wygląda i zachowuje się normalnie. Objawów zewnętrznych poza wyrzutem na podniebieniu nie widać. Tylko na żebrach wielka, zbielała już ze starości blizna po wrzodzie.

Więc można i tak? Czasami uchodzi prawie bezkarnie? Zaraz — pomału.

Do gabinetu wprowadzają dziesięcioletnią dziewczynkę. Mała ma t. zw. „barani nos.” To znaczy rusztowanie nosa jest w połowie zniszczone, dolna jego część zaklęśnięta, głęboka bruzda przekreśla okolice, gdzie dawniej było lewe nozdrze.

— No, jak to było? — pyta lekarz.

— A to — proszę pana doktora — koleżanka w szkole uderzyła mnie w nos. Zaczęło się ropić. Pani doktorka przemywała i przemywała i potem wzięli krew do badania...

Choroba tej małej da się opanować. Chirurg potrafi przywrócić ludzki wygląd jej nosowi. Ale przyszłe potomstwo tej dziewczynki nie będzie pełnowartościowe ani pod fizycznym, ani pod psychicznym względem.

Dzieje i rozmiary

Dawniej, przed wojną, żeby zademonstrować studentom wypadek świeżej kiły, lekarze musieli czekać na okazję. Dzisiaj: w dn. 3 marca b. r. Klinika Dermatologiczna w Krakowie zarejestrowała osiem wypadków. W dniu 9 marca do ambulatorium Oddziału V a Szpitala św. Łazarza zgłosiło się dziewięciu nowych chorych. W tym samym dniu do Miejskiej Przychodni skórno-wenerycznej — pięciu! Ubezpieczalnia Społeczna rejestruje dziennie od jednego do trzech przypadków świeżej kiły.

W Przychodni na Skawińskiej byłem w czerwcu, we czwartek — dzień szczególnie spokojny — i tylko przez dwie godziny. I przy mnie zgłosiło się dwu mężczyzn ze świeżą chorobą. Obydwaj zarazili się na Zachodzie. Lekarze obliczają, że c o s z ó s t y mieszkaniec Wrocławia jest chory. W Gdańsku na 130 tysięcy mieszkańców — chorych c z t e r d z i e ś c i p i ę ć t y s i ę c y. To trzeba — by móc walczyć i strzec się — stwierdzić, wiedzieć i zapamiętać: wielki rezerwuar chorób wenerycznych znajduje się na zachodzie kraju. Stamtąd strumienie zarazy rozpływają się po całej Polsce.

Dzieje tej epidemii łączą się ściśle z historią wojny. Pierwszą falę chorób wenerycznych przynieśli w 1939 roku powracający do domów uchodźcy. Lekarzom udało się jednak opanować to i zwalczyć.

Przyszedł rok 1945 — front znowu przewalił się przez nasze ziemie — nastał okres wielkich wędrówek nieustabilizowanych, piońiersko-szabrowniczych stosunków na zachodzie. Pierwszym skutkiem w dziedzinie zdrowotnej była epidemia rzerzączki, którą — dzięki penicylinie i wysiłkom Służby Zdrowia — udało się zwalczyć. Teraz grasuje syfilis, a z nim nie taka łatwa sprawa.

A warto przy okazji zapamiętać sobie i wbić w głowy dwie prawdy: 1) że syfilis jest chorobą dziedziczną, którą rodzice przekazują dzieciom; 2) że zakażenie niekoniecznie musi nastąpić drogą stosunków płciowych. Wystarczy stykanie się z chorym, używanie tych samych naczyń, ręcznika, brzytwy, pościeli. Czasem i rękę podać wystarczy. Sześć procent ogólnej liczby zakażeń następuje w ten właśnie sposób. Lekarze opowiadali mo o pewnym robotniku z huty szklanej, który zaraził sześciu zdrowych kolegów. W danym wypadku chodziło o używanie tej samej rurki do wydmuchiwania butelek.

Hamulce

Skąd się u nas całe to zagadnienie wzięło? Czemu problem wystąpił z tak niesłychaną siłą? Ogniska zarazy musiały gdzieś u nas czy za granicą i przedtem istnieć — podczas wojny ją rozwleczono. Nie stało się to na pewno na skutek zbytniej czystości obyczajów, czy nadmiaru ascezy. Pierwszorzędną rolę grało tu raczej rozpasanie upojonego krwią żołnierza walczących armii oraz uchodźcze i szabrownicze *va banque*. A jak dalej idzie — tego się można po szpitalach dowiedzieć.

Przyszedł na Skawińską młody, dwudziestodwuletni mężczyzna. Normalny przedstawiciel robotniczej młodzieży. Niedawno chorował na rzerzączkę i jest pewien, że mu się choroba odnowiła. Jednakże z zachowania się lekarza i jego kierowanych do mnie słów zaczyna wyłaniać się odmienna rzeczywistość.

— Panie doktorze — pyta — czy to jest to samo, czy coś gorszego?

— Tak, coś gorszego. Pan jest ciężko chory. Ma pan kiłę. Syfilis. Rozumie pan?

Odpowiedzi brak, tylko nieruchome spojrzenie przerażonych oczu.

Pytania lekarza zmierzają do wykrycia źródła i historii choroby. Zarażenie nastąpiło w Stargardzie koło Szczecina. W grę wchodziła jakaś przygodna znajoma. Kilka tygodni temu, gdy znamiona choroby nie były jeszcze tak widoczne, chłopak był na majówce z kolegami w Lasku Wolskim. — Tamże poznał jakąś dziewczynę i tegoż dnia, na tejże majówce nieświadomie ją zaraził.

Upłynął miesiąc. Jeżeli przez ten czas dziewczyna owa równie łatwo „zawierała znajomości” — dziedziców stargardzkiego importu musiało się już sporo namnożyć. Tak to idzie.

Istnienie epidemnii jest faktem. Drugi fakt to nieustanne wędrówki tysięcznych rzesz ludzkich. A trzeci — to nieprawdopodobna, niebywała przedtem, łatwość „zawierania znajomości.”

Oto jeszcze jeden szpitalny obrazek. Dziewczyna lat siedemnastu. Uczennica szkoły średniej w jednym z prowincjonalnych miast. Pochodzenie inteligenckie. Zarażona syfilisem przez „przyjaciela,” człowieka z wyższym podobno wykształceniem, zamieszkałego na zachodzie.

— Proszę — powiada lekarz — niech nam pani opowie o atmosferze panującej wśród młodzieży w szkole.

Dziewczyna chwilę patrzy w ziemię. Potem zaczyna mówić. Wiem, że nie kłamie. Tutaj, w poważnym, a życzliwym i ludzkim otoczeniu szpitalnym mówi się prawdę.

— Szkoła nas ani wychowuje, ani uczy. Od najniższych klas, od szkoły powszechnej młodzież się nieustannie bawi. Dochodzi wcześnie do poufałości z kolegami.

— Jak wcześnie, pani zdaniem, koleżanki zaczynają życie seksualne?

— Bardzo wcześnie. Ja jestem w klasie najmłodsza. Myślę, że większość z moich koleżanek ma „przyjaciół.” Jest żądza wyżycia się.

— A czy pani nie zastanawiała się nad tym, że ludzie, którzy wybili się i zajmują w społeczeństwie wyższe stanowiska, osiągnęli to między innymi dlatego, że się nie wyżywali, tylko pracowali długo i ciężko?

— Nie, nam tego nie mówią.

Tak to jest. Powiecie może, że to normalne — jak przystało na katolicki tygodnik — kaznodziejstwo i prawienie morałów. No, to proszę posłuchać opinii lekarzy-fachowców.

Dr Jerzy Lebioda, — mój przewodnik i informator, któremu zawdzięczam możność zdobycia tych informacyj — powiedział przed mikrofonem rozgłośni krakowskiej: „Trzeba przede wszystkim chcieć uniknąć zakażenia i trzeba mieć hart, aby przeciwstawić się pokusom i chwilowym przyjemnościom, za które później płaci się wysoką cenę.” Dr Edward Borkowski, autor książki „Chroby weneryczne szerzą się” (Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy, Warszawa 1946) napisał: „Chorobę weneryczną nabywa się przez nieuregulowany, rozwiązły tryb życia i utrzymywanie stosunków z osobami lekkiego prowadzenia. Wstrzemięźliwość płciowa, jak również wczesne małżeństwo osób zdrowych i sobie wiernych wyklucza chorobę weneryczną.” Jasne?

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

CZESŁAW BEDNARCZYK

MODLITWA

Wierzę, że mogłeś inaczej —
a tchnąłeś w glinę.
Po to — bym pojął i baczył
— pyłu kruszyna,

że trzeba uprawiać siebie
codziennym trudem,
wypleniać chwasty przed siewem,
rozkruszać grudy,

zagonów w sobie mieć zieleń
po deszczu wiosną,
jasnej niedzieli spojrzenie
i drogę prostą.

Wówczas — żniw kiedy doczekam
i płody zwiozę —
wypowiem: byłem człowiekiem,
obrazem Bożym.

AMERYKA ILII EHRENBURGA

„Osservatore Romano” przedrukował z „Izwiestii” ciekawe wrażenia Ilii Ehrenburga z Ameryki, które podajemy naszym Czytelnikom w tłumaczeniu z włoskiego.

Jest rzeczą niezmiernie interesującą, jak ten wybitny pisarz sowiecki widzi Amerykę, jak rozkłada światła i cienie i co ma o niej do powiedzenia sowieckiemu czytelnikowi. Mówi inaczej niż sowieckie podręczniki szkolne, chociaż wybija te same niemal elementy. I mówi w sposób nieporównanie szerszy, inteligentniejszy i — kulturalniejszy, niż nasi domorośli czy importowani komuniści krajowi, z krajowych dzienników i tygodników „postępowych,” dla których Ameryka — to tylko lyncze, Ku-Klux-Klan, kapitalistyczny wyzysk, humbug i t.p. zrosty uczuciowe.

Ehrenburg jest daleko sprytniejszy w swym spokojnym, stonowanym i — pozornym obiektywiźmie.

Redakcja

„Nie można zrozumieć nowoczesnego świata, nie rozumiejąc Ameryki. Poświęcono jej już setki i setki paszkwili, bo łatwo jest ją podziwiać lub ośmieszać. Lecz Ameryka jest krajem nie tylko oryginalnym, ale i wielostronnym; trudno ją ogarnąć, trudno pojąć; trudno w krótkich słowach streścić swe wrażenia tak raptowne i często sprzeczne. Nie raz bowiem za skomplikowaną techniką kryje się duchowe prostactwo.

Niezwykle wysoko stawiam literaturę amerykańską. Nie łatwo znaleźć w zachodniej Europie twórców, którzy by dorównali takim pisarzom jak Hemingway, Faulkner, Steinmeck, Caldwel. Mógłbym dodać jeszcze dwa, trzy nazwiska: po nich zaś już tylko nieobeszła pustynia „opowiadaczy” tygodników ilustrowanych, trywialnych i głupich do tego stopnia, że nawet i najmniej wymagający czytelnicy europejscy byliby przerażeni.

Nie ma tu literatury popularnej, tak jak nie ma domów cztero czy pięcio piętrowych. Drapacze chmur Nowego Yorku mają swoje usprawiedliwienie geograficzne: Całe to olbrzymie miasto jest zbudowane na małych wysepkach. Ale i w miastach prowincjonalnych można zobaczyć kilka drapaczy chmur, w około których kuli się tysiące domów jednopiętrowych. Takie są kontrasty amerykańskie.

Na stacji w Atlancie uderzyły mnie automatyczne szafy, zastępujące skład bagażu. Wrzucasz monetę, otrzymujesz klucz i możesz sam zamknąć swój bagaż. Chciałem powiedzieć mojemu towarzyszowi amerykańskiemu:

— „Umiecie na prawdę ułatwić ludziom życie,” ale nie starczyło mi na to czasu: ujrzałem ciemną norę nieprzewietrzaną, z napisem na drzwiach: „*Dla pasażerów kolorowych*”; drzemali tam murzyni i mulaci.

W Stanie Missisipi zwiedziłem dom plantatora, miał lodownię i maszynę do prasowania, piękne radio i nadzwyczajne wentylatory. Właściciel tłumaczył mi zupełnie serio, że czarno-skórcy wcale nie są ludzkimi istotami. Ani radio, ani wentylatory nie miały wpływu na intelektualny rozwój tego pana i właściciela niewolników.

Zwiedziłem niektóre małe miasteczka uniwersyteckie. W Ameryce wiele się robi, by podnieść umysł studentów do pewnego poziomu kulturalnego. Widziałem doskonałe biblioteki i laboratoria, poznałem uczonych całkowicie pochłoniętych studiami. Ale w Stanie Tennessee profesorowie opowiadali mi, że nie mają prawa wykładać w szkołach teorii ewolucji: prawo zabrania najmniejszego odchylenia się od biblijnej legendy Adama i Ewy.

We wszystkich miastach amerykańskich istnieją kluby t. zw. „lwów”: członkami są bogaci kupcy, którzy przed rozpoczęciem śniadania wydają dziwne głosy, mające naśladować ryk lwa. Jeszcze dziwniejsze są kluby tak zw. „Ku-Klux-Klan”; w Stanie Georgii niedawno miał miejsce rodzaj takiego klubu; członkowie przysięgali takiemu swojemu „duce” faszystowskiemu, nazywanemu „Wielkim Smokiem;” potem złożyli przysięgę, że powieszą kilku murzynów i zabiją paru „wolnomyślicieli.”

Wszyscy wiedzą, jakim szacunkiem jest otoczony w Ameryce pieniądz. Prócz licznych kościołów i sekt zarejestrowanych istnieje jeszcze inny kult — dolara. Często, przedstawiając gościowi jakąś wybitną osobistość, dodaje się tu cyfrę jego majątku. Mniej znany jest fakt, że w Ameryce obok niezwykłych aferzystów i ludzi interesu, istnieje wielu marzycieli i szlachetnych idealistów.

Spotkałem pewnego wynalazcę, który odmówił przyjęcia wielkiej sumy pieniędzy, bo obawiał się, że maszyna przez niego wynaleziona pozbawi pracy setki i tysiące robotników. Rozmawiałem z prowincjonalnymi utopistami, którzy nie dosypiają i nie dojadają, oddając swe pieniądze i swe siły na fantastyczny projekt stworzenia „Rządu Światowego.”

Wszędzie istnieją stowarzyszenia mające na celu obronę praw murzynów. A przecież rok rocznie siada na elektrycznym krześle murzyn niewinny i rok rocznie najlepsi ludzie Ameryki wznoszą protesty przeciw barbarzyństwu rasowemu. No, tak, w Ameryce istnieje kult dolara, ale istnieją także ludzie, którzy rezygnują z pary nowych butów, by móc posłać słodycze dzieciom jugosłowiańskim.

Amerykanie mają wiele cech dziecięcych; są odruchowi, szczerzy, ciekawi, żartobliwi. Najstarsza część Ameryki nazywa się Nową Anglią. Tu wszystko jest nowe, wszystko jest młode. W Nowym Orleanie zachowuje się część miasta francuska z domami XVII i XVIII wieku. Podobnych domów w Europie jest tyle, ile kto chce i nawet najbardziej zapalczywi turyści nie zwracają na nie uwagi. A „starożytna część miasta Nowego Orleanu” jest miejscem podobnym do Pompei, miejscem pielgrzymek dla oglądania starożytności. W każdym z tych domów znajduje się albo antykwariusz, albo gospoda stylizowana z kominem w którym pali się ogień nawet w najgorętsze dni letnie, by stworzyć atmosferę epoki. — Nie może zrozumieć Amerykanów, kto zapomina o młodości tego kraju.

Ludzie lubią tu włóczyć się po świecie. Człowiek, żyjący w miejscu, w którym się urodził, jest rzadkością i pokazują go jako coś nadzwyczajnego.

Nie ma większego kontrastu jak między charakterem i obyczajami przeciętnego Amerykanina. Anglik jest grzeczny, flegmatyczny, lubi dokończyć żywota w domu swych dziadów, ubiera się w dobre materiały, rachując, że ubranie to będzie mógł nosić — jeśli nie do śmierci, to przynajmniej do nowych wyborów.

Amerykanin lubi tylko rzeczy nowe. Lubi zmieniać mieszkanie, kupuje ubranie gotowe, dobrze zrobione i tanie. Kupuje koszule z materiału tak lichego, że nie warto ich prać. Ceni starożytne kamienie, ale lubi krawaty o jaskrawach kolorach; lubi hałaśliwość i jaskrawość.

Historia Stanów Zjednoczonych nie sięga daleko w ubiegłe stulecia; jest rzeczywiście historią nowoczesną. Historii tej uczą w szkołach każdego Stanu odmiennie: na Północy, południowcy są nazywani obrońcami niewolników, na Południu ci z północy są nazywani ludźmi gwałtu. Często złośliwość przyciemnia poczucie historii.

Rozmawiałem z prof. Einsteinem o tej kampanii, którą niektóre gazety prowadzą teraz przeciw Sowietom. Pokazałem mu artykuł, w którym odbudowa Stalingradu jest przedstawiona prawie jako akt „sowieckiego imperializmu.” Profesor Einstein odpowiedział mi:

— „Te artykuły są obrachowane na czytelników, którzy już zapomnieli czym jest Stalingrad.”

Ideologowie antysowieccy lubią przedstawiać nasz kraj jak koszary, gdzie istoty ludzkie są zupełnie pozbawione indywidualności. Amerykanie myślą, że wszyscy Rosjanie są jednakowi.

Prawdę powiedziawszy, nie znam innego kraju, który by doszedł do takiego stopnia standaryzacji jak Stany Zjednoczone. Zwiedziłem około dziesięciu miast amerykańskich; nie można ich odróżnić od siebie.

W każdym mieście jest „Main-Street” (ulica główna), z kinem, modnymi sklepami, reklamami świetlnymi tak papierosów, jak „Coca-cola.” Mam wrażenie, że nawet Amerykanin nie potrafi odróżnić na fotografi „Main-Street” jednego miasta od „Main-Street” setek innych miast. Naturalnie Nowy York ma swój wyraz charakterystyczny i nie bez racji Amerykanie często zrzędzą, że Nowy York nie jest wcale Ameryką.” Każdy nowo przybyły do Nowego Yorku, uderzony jest zewnętrznym wyglądem tej „feeri katastroficznej,” jak naswał ją Le Corbussier. Miasto to wyrosło tylko w górę i stało się najwyższą puszczą żelbetonową. Wieczorem wydaje się zespołem gór oświeconych: pełne jest kolorów, hałasu, męczy prędko i gruntownie. Złożone jest z dziesiątek oddzielnych miast: miasto murzyńskie, europejskie, włoskie, portugalskie, niemieckie i t. d. Każde z tych miast ma swe właściwości i swój handel specjalny; prawie żadne z miast amerykańskich nie ma indywidualnego wyglądu; są to — po prostu zbiornice pewnej liczby Amerykanów.

I wszystkie rzeczy są tu standaryzowane. Wszędzie ten sam typ spodni, czajników, foteli. Jest dużo melancholii w takiej monotonii: wszędzie takie same domy, takie same meble, takie same naczynia, ludzie w takich samych ubraniach, kobiety w taki sam sposób wystylizowane. Ale ja nie zgadzam się z europejskimi estetami, którzy wyśmiewają standart amerykański. Niech sobie ubrania będą jednakowe: chodzi o to, by każdy mógł je nabyć.

Faktem o wiele smutniejszym jest pewna standaryzacja duchowa.

Amerykanie bardzo lubią mówić o swych wolnościach; mimo to ich opinie, gusta i uczucia, a w następstwie i ich działalność — są regulowane z zewnątrz. Kino, na przykład, ustanawia pewien typ piękności i gazety komunikują wszystkie szczegóły, jakie powinny cechować kobietę „idealną”; to jest standaryzowanie rozkoszy. Wszystkie Amerykanki „regulują się” wedle tych wiadomości, chcą stać się jak najbardziej podobne do tej gwiazdy filmowej, która w tej chwili jest modna, podczas gdy mężczyźni podziwiają i kochają, nie spostrzegając nawet — taki właśnie typ a nie inny.

Nie istnieją książki o przeciętnym wydaniu. Nawet wartościowsza nie osiąga więcej niż kilka tysięcy egzemplarzy, jeśli nie jest „rzucona” przez jakiś klub literacki; wtedy drukuje się w setkach tysięcy egzemplarzy, bo przeciętny Amerykanin nie ma ochoty wybierać: prawo wyboru zostawia swemu klubowi. Prasa i kino pozbawiają ludzi ich duchowej indywidualności. To tłumaczy tę melancholię, jaka w Ameryce łączy się z godzinami, które nie są wypełnione pracą.

Amerykanie znają dobrze sztukę zarabiania pieniędzy, ale nie nauczyli się wydawać jeszcze ich. Nie chcę przez to powiedzieć by byli skąpi. Powiedziałbym, że rzeczą najweselszą w Ameryce jest zetknięcie się mieszkańców miast z naturą; nad morzem młodzież jest pełna radości i wesela. W kinach uderza zaspany wygląd publiczności. Jest bardzo wielu pijaków mimo ograniczenia w sprzedaży alkoholu. Każdy przeciętny Amerykanin jest amatorem samochodu. Dawniej kupował nowy samochód co trzy lata, teraz kupuje ten, który mu sprzedadzą dopiero za pół roku.

Wydają dużo na elektryczność, bo elektrownie są w prywatnych rękach i Państwo nie ma prawa wtrącać się w prywatne interesa: to jest wolność. Ale bywają wypadki, w których Państwo ma prawo wtrącać się do spraw prywatnych: policja, na przykład, może wejść w jakiejkolwiek godzinie do pokoju jakiego bądź hotelu w Nowym Yorku; to też jest jakoś zupełnie zgodne z pojęciem wolności osobistej.

Amerykanie stworzyli cudowną technikę. Niektórzy z nich twierdzą, że cała kultura ludzkości jest skoncentrowana w Ameryce. Jeden z dziennikarzy mówiąc o Rzymie, nazwał go miastem brudnym i brzydkim, bo nie ma w nim ani drapaczy chmur, ani dobrych aptek...

Amerykanie za mało znają świat cudzoziemski, kiepsko uczą się historii i geografii starego świata. Grupa uczni nie umiała mi nazwać ani jednego miasta rosyjskiego. Gazety amerykańskie piszą często, że istnienie dwóch partii jest gwarancją prawdziwej demokracji; ale nie umieją wytłumaczyć, jakie są granice ideologiczne między tymi dwoma partiami i w czym republikanie z Północy różnią się od demokratów z Południa.

Rozwój Ameryki poszedł inną drogą w porównaniu z dziejami starej Europy. Francja zaczęła od katedr gotyckich i trubadurów. Ameryka od samochodów, aptek, podobnych do barów i gorączki złota. Szybko doszła do wysokiej kultury materialnej, ale jej kultura duchowa ma się dopiero narodzić. Znając amerykańską inteligencję, żywość, energię, mamy prawo powiedzieć, że kultura psychiczna tego wielkiego narodu będzie wielka i niezależna.

W politycznym sumieniu przeciętnego Amerykanina zaszły pewne zmiany. Mówiłem już o pisarzach. Teraz dodam, że kino amerykańskie stworzyło prawdziwy humor powszechny. W końcu i w architekturze Nowego Yorku jest pewna piękność, niespokojna, lecz niewątpliwa.

Zrodziła się też amerykańska „inteligencja.” Jest jeszcze bardzo słaba i niepewna siebie. Chowa się przed reklamą, przed muzycznymi maszynami barów, przed kazaniami kościelnymi; ukrywa się ze swym negatywizmem w smutku, który bym nazwał czechowskim, czasami w szyderstwie, czasami w utopiach. Ale wśród intelektualistów jest coraz więcej ludzi odważnych; rozumieją oni, że zbawienie nie leży ani w ucieczce, ani w samotności: trzeba podnieść poziom duchowy przeciętnego Amerykanina do poziomu tej techniki, która go otacza od jego rodzicielskiego domu aż do krematorium.

ILIA EHRENBURG

DE PROFUNDIS

ZE STRONY !

Więc trzeba sprawę stawiać jasno i brutalnie. Nie zawracać sobie głowy rzekomą bezkarnością wobec wynalazku penicyliny. Owszem, środek ten w dwadzieścia cztery godziny likwiduje rzerzączkę, a w przeciągu siedmiu dni usuwa *zewnętrzne* objawy świeżej kiły. Ale nie wiadomo jeszcze nic, czy leczy ją. To się dopiero okaże po latach, może wtedy, kiedy zaczną przychodzić na świat dzieci osób dziś penicyliną leczonych. Amerykanie n. p. zapatrują się sceptycznie na wyniki penicylinowych kuracyj.

I nie ma co piaskiem w oczy sypać, że problem chorób wenerycznych to nie jest sprawa ludzkiego sumienia. Posłuchajcie zwierzeń chorych, opowiadań o wpływie na to wszystko takich zjawisk, jak pijaństwo, oszustwo i gwałt. Chcecie znać historię choroby tamtego chłopaczka, o którym na samym początku pisałem? Matkę jego, kobietę dziewiętnastoletnią, zaraził mąż, który trzy miesiące siedział na Zachodzie. Karmiła dziecko. O chorobie męża dowiedziała się wtedy, kiedy on już poszedł do szpitala. Dziecko naturalnie też zachorowało. A jest to historia raczej typowa. Problem sumienia i uczciwości.

Trzeba działać zawczasu. Trzeba naciskać hamulce moralne. Szybko i zdecydowanie. Bo zgnijemy.

PAWEŁ JASIENICA

Jedność i powszechność Kościoła w świetle ostatnich kanonizacji

(Od własnego korespodenta)

Miasto Watykańskie w końcu lipca. Wielki cykl tegorocznych uroczystości w bazylice św. Piotra został zamknięty: zaczął się na wiosnę beatyfikacją mediolańskiego profesora Kontarda Ferrini'ego, a skończył się w ostatnich dniach lipca kanonizacją francuskiej zakonnicy, Katarzyny Labouré.

W ciągu czterech miesięcy, od kwietnia do końca lipca, niemal co tydzień przybywały do Rzymu pielgrzymki wiernych z całego świata, z Zachodniej Europy, z obu Ameryk, z Afryki i Azji. Były one świadectwem wiary ludów rozmaitych ras; były hołdem składanym w imieniu tych ludów u stóp Chrystusowego Namiestnika.

W tłumach wypełniających bazylikę św. Piotra zacierały się różnice ras, społecznych warstw i stanów. Wielcy i maluczcy, głowy państw i skromni wyrobnicy, bogacze i ubodzy, uczeni i analfabeci: — wszystkich zrównywała u grobu Księcia Apostołów ta sama pokora, łączyła ta sama wiara. Równi wobec Boga; równi wobec Kościoła, miłujące i umiłowane dzieci jednej Wielkiej Matki.

Patrząc na te bezmierne rzesze, słuchając słów wielojęzycznych modłów, odczuwało się, jak nigdy, majestat i moc powszechności Kościoła. Europejczycy, Amerykanie, Hindusi, Malajczycy i Murzyni — każdy zwracał się do Stwórcy w innym języku, ale czym jest odmienność dźwięku wobec jedności mowy dusz? A gdy o strop świątyni uderzały solenne tony „*Tu es Patrus*" zapowiadając ingres Papieża — nie było serca, którego by nie przejął dreszcz wzruszenia na myśl, że oto zbliża się Ten, co w łańcuchu nadprzyrodzonego dziedzictwa jest widzialnym ogniwem łączącym świat doczesny z wiecznym królestwem niebios.

Mówi się, że bazylika św. Piotra została wzniesiona dla uświęcenia zwycięstwa katolicyzmu nad protestancką schyzmą. Akt tego uświęcenia odnawia się za każdym razem, gdy Kościół, powiększając zastęp świętych, potwierdza tym swą nieskończoną żywotność. Każda kanonizacja jest wkładem do nieśmiertelnej budowli. Wzmacnia spoistość jej części: od szczytu do podstaw. — w przestrzeni; od Piotra do Piusa XII — w czasie.

*

Św. Ludwik Maria Grignion i św. Katarzyna Labouré zostali wyniesieni na Ołtarze w dniach 20 i 27 lipca b. r.

Pierwszy z nich — Ludwik Maria Grignion z Montfort (1673—1716) — kapłan i kaznodzieja, niestrudzony krzewiciel wiary, zasłużył sobie na podwójne miano „apostoła marodu francuskiego" i „herolda Krzyża."

Życie jego i cnoty opisał pewien świecki autor w sposób następujący: „Był to biedny ksiądz, szczupły i kościsty, który żył w najsurowszym umartwieniu (20 lat ścisłego postu), w ciągłych pieszych wędrówkach po Francji, niosąc pomoc najbiedniejszym i szerząc pośród nich wiarę w Najwyższego. Miał on wielkie i czułe serce; miłował Boga i miłował swoich bliźnich, oddając im aż do ostatniej chwili każde swoje tchnienie. Uwielbiał Matkę Boską tak żarliwie i głęboko, że traktat jego o nabożeństwie do Najświętszej Panny stał się jedną z najwznioślejszych ksiąg jakie są znane w dwutysiącletniej chrześcijańskiej tradycji. Otaczała go aureola świętości, płomienna i przenikliwa jak ta, którą promieniował św. Jan Chrzciciel."

Do słów tych dodać tylko można, że św. Ludwik Maria Grignion, przezwany przez lud francuski „le bon Pere" (dobry Ojciec), był także założycielem nowego zgromadzenia misyjnego „Towarzystwa Marii."

*

Św. Katarzyna Labouré, której kanonizacja odbyła się w niedzielę 27 lipca, żyła we Francji w okresie antyklerykalizmu i walki przeciwko Kościołowi, rozpętanej przez wielką rewolucję.

Zmuszona przez swego ojca do małżeństwa, 17-letnia Katarzyna chroni się do klasztoru Szarytek w Paryżu i wkrótce po tym przywdziewa szaty zakonne, by jako wierna naśladowczyni św. Wincentego à Paulo poświęcić się działalności charytatywnej pośród najniższych warstw społecznych. Odtąd Katarzyna Labouré staje się uosobieniem miłosierdzia, pokory i słodyczy, znosząc cierpliwie wszelkie poniżenia — nieuniknione następstwa kampanii przeciwko Kościołowi. W swym życiu doczesnym pokorna służka Boża doznała wielkiej łaski: miała trzy objawienia, podczas których ukazała się przed nią postać Matki Boskiej, mówiąc: „Jam jest Niepokalane Poczęcie." Na pamiątkę tego dowodu nadprzyrodzonej łaski Zakon Szarytek odbił specjalny medal, przedstawiający Najświętszą Marię Pannę tak, jak widziała Ją św. Katarzyna Labouré. Wizerunek ten, wsławiony licznymi cudami, jest dziś celem pielgrzymek wiernych z całej Francji. *L.*

Jan WINNICKI

Włóczęga—Matce Boskiej

Myślałem, że będę kreślił te słowa na Brompton Road, u przyjaciela w *Antiquities Shop*. W takim to magazynie starożytności, dokąd przychodzą sprzedawać stare pamiątki rodzinne ci, którym kryzysy czasów dokuczają, a gdzie kupują je ci, którym kryzysy wychodzą na korzyść.

Mój przyjaciel nie jest Polakiem, ale ma cośkolwiek z krwi południowosłowiańskiej. Jest więc gościnny. I dobrze by się tam pisało pomiędzy figurką świętego Dominika i starymi, ułamanymi wyciosami z drzewa malowanych Chrystusów cierpiętliwych, a tą jawajską tancerką, lalką z teatru marionetek, która za 25 funtów okaże nowemu posiadaczowi ciekawostek swą tajemniczą dumę, zaklętą w sajetę, rzeźbę i maskę. Dalej, w oszklonym stoliku, rzecz rzadka, podobno rarissima, — błazeńskie berło florenckie z XV-tego wieku, pochodzące z pamiętnego dworu książąt toskańskich. I tak dalej i tak dalej.

Odpowiednie to środowisko dla włóczęgi — bez domu — do pisania o tym, co włóczęga sprzed wieków chciał ofiarować swej matce dla Matki Boskiej.

Czytelnik zrozumiał już, że chodzi o Villon'a (1431—1463) i jego słynną modlitwę...

Sklep starożytności był otwarty, właściciela jednak nie było. Prysły więc me projekty.

I oto piszę teraz w całkiem innej dzielnicy, W 11, — w pierwszym przestronnym barze opodal zaklauzurowanego klasztoru, przy pustej i skromnej szklaneczce. Środowisko jak na Villon'a jeszcze bardziej może odpowiednie...

Bo wszak wiecie, Drodzy Czytelnicy, chyba wszyscy, że Villon był tym cyganem paryskiej studenterii XV wieku, co to stykał się z przestępczym światem; był poetą mętów, włóczęgą, awanturnikiem, czarnym charakterem, sparszywiałą owcą. I może przypominać niejednego z polskiej młodzieży tak wśród nas, na emigracji, jak i w kraju, niejednego z A.K., czy z przymusowych robót, który poprzez przygody, „organizacje," „szaber," obozy, kombinacje zdołali się utrzymać jeśli nie na powierzchni, to w każdym razie — na szczęście dla siebie — nie na zbyt głęboko pod nią.

Często to małoletni, a już spieczeni w bólach fizycznych i moralnych, robią wrażenie dwuznaczne. Ale może i dla tego są mi tak bliscy, — bo sam jestem włóczęgą o rozmaitym obliczu w oczach tego świata.

*

Villon częstokroć zaglądał w swej życiowej karierze pod przęsła szubienicy. Ale dla matki-staruszki wydobył z swej duszy skarb wiary pobożnej i tę cześć Matki Boskiej, której medalik zawsze się znajdzie na piersiach lub w dziurawym portfelu naszych pariasów. Posłuchajmy modlitwy, którą w imieniu matki ułożył wierszem:

BALLADA O NAJŚWIĘTSZEJ PANNIE

1. O Pani Niebios, Niebieska rządczyni ziemskich okręgów,
Podziemnych, nizinnych czeluści Imperatorowo silna,
Racz przyjąć mnie dzisiaj, mnie, pokorną chrześcijankę,
Bym znalazła się w liczbie Twoich wybranek
Chociaż, wyznaję to szczerze, nigdym nic wartą nie była.
Twoje dary, o Pani ma i mistrzyni
O wiele, wiele więcej ważą, niż miara mych grzechów,
Dary, bez których nie może zasłużyć się dusza
By zyskać niebo. — Wiem ja, że nie kłamię
I chcę w tej wierze żyć i umierać.

2. Synowi Twemu powiedz, żem ja Jego.
Niech grzechy moje przezeń zmazane zostaną.
Przebacz mi, przebacz, jako Marii z Egiptu,
Lub tak, jak On to Teofilowi uczynił,
Który przez Ciebie doznał przebaczenia i zwolnienia z nędzy,
Chociaż zaprzysiągł się był szatanowi.
Chroń mnie, bym tego nie czyniła nigdy.
O! Dziewico! Jednak uczyń mi tę łaskę
Bym otrzymała Sakrament, sprawowany we Mszy,
Bo chcę w tej wierze żyć i umierać.

3. Jestem ci ja niewiastą ubożuchną i starą'
Co nie zna nic, co nigdy nie czytała liter,
Lecz w klasztorze, który jest moją parafią
Widzę ci ja raj wymalowany, gdzie hafry dzwonią i lutnie
I piekło, w którym goreją nędznicy.
Jedno mnie straszy, drugie napawa radosną otuchą.
Daj mi dojść do radości o, Wysoka Pani,
O Ty, do której wszyscy uciekać się powinni grzesznicy,
Napełnij mnie wiarą czynną, bez udawań i lenistwa
Bo chcę w tej wierze żyć i umierać.

Przesłanie

Nosiłaś, Panienko święta jak księżniczka zacna
Jezusa-Króla, który nie zna ni końca ni przerwy.
Wszechmogący, biorąc na siebie naszą słabość,
Opuścił niebiosa, by nam pomoc przynieść.
I śmierci oddał swą młodzieńczość godną.
Taki to jest nasz Pan i takiego wyznaję
A w tej wierze żyć chcę i umierać.

Taką rzewną modlitwę ułożył Villon dla swej Matki, Villon, którego pewien autor, Anglik, określa jako „chrześcijanina, przestępcę i poetę."

Popularny jest on w Anglii dotychczas, bo jakiś czas należał do studenterii Oxfordu. — Jego balladę do Najśw. Panny tłumaczyło na angielski dwóch poetów wyspy: Dante Gabriel Rosetti i anglo-irlandczyk John Millington Synge, którego życie, nieco życie paryskiego studenta, skazywanego dwukrotnie na gardło, czasem stylem swym przypomina. Zresztą Francis Thompson, Verlaine, słynny Rimbaud do tej samej należał rodziny. Coś nie coś Przybyszewski, coś niecoś Kasprowicz.

Tamte zresztą rzeczy są już przefermentowane. Dziś, Villon tak jak Thompson, zachwyca prostotą swej wiary, przeświecającej dobitnie poprzez smutek duszy. Tu i ówdzie przypomina się kolęda „Bóg się rodzi, moc truchleje." — Ale nie chodzi tutaj specjalnie o Villon'a[1]). Chodzi o pochwycenie tylko jego rytmu duszy, tak precyzyjnie umiejącej wszystkie odcienie i głębie dogmatyczne oddać w niewielu słowach. Chodzi o tę utrudzoną pyłem ziemi pokorę, która ufa; chodzi o ten kościółek, o którym mówi, a który jest „księgą ubokich" — „biblia pauperum" prawdziwą i spoza którego wizji — oby przed oczy wielu wynurzył się obraz wiejskiego kościółka w Polsce i rozbudził w sercach zadrzemaną nieraz i zniechęconą, a jednak podziwu godną, pełną głębi wiarę w wielki cud Wcielenia, w moc wielką orędownictwa Matki Zbawiciela.

Najśw. Panna jedna, jak boża łaska, wnika tam, gdzie jesteśmy wszyscy włóczęgami obecnie. Jesteśmy ubożuchni i sterani. Nie znamy liter — nie tych wprawdzie, które piszą w książkach, ale tych, które opancerzone drzwi sezamów otwierają.

Wielu z nas może jakieś gorzkie cyrografy nosi w sercu, jak ów Teofil, o którym mówi ballada i którego dzieje są wyrzeźbione na wielu portalach starych katedr gotyckich (jak w paryskiej Notre Dame). Zwrócił się do Najśw. Panny w srogim strachu i rozpaczy, a Ona wyprosiła mu u swego Syna zniweczenie straszliwego zapisu.

Tęsknimy do harf i do lutni i wielu z nas wmawia w siebie, że już nie boi się piekła. — Dla nas to, nie tylko dla swej starowiny-matki pisał te wyznania Villon. Chciejmy tylko „bez obłudy i lenistwa" żyć w tej wierze, o której on mówi.

Zapewne, moje tłumaczenie nie jest tak piękne, jak Boy'a. Niemniej jednak wydaje mi się, że nie na darmo znalazłem te wiersze w okazyjnym tomiku. Dzwoni w nich nuta ufności — że tak powiem — beztroskiej, ten dziecięcy stosunek do Boga, który w tylu duszach został załamany przez Reformację i który jest cechą dusz katolickich. To coś, co sprawia, że rozeznając dalsze miary i stopnie, cały świat duchowy staje się naszą wspólną własnością i nie dopuszcza swoją w nas obecnością, byśmy brali całkowity rozbrat między życiem codziennym a duchem, jak się to tak często dzieje obecnie. (Obrzydliwie wydzierają się w tym barze, na dobitkę jeszcze pół pijane niewiasty, tym obrzydliwiej, bo nieznanym językiem).

Jeśliby nabożeństwo do Najśw. Panny nic więcej nawet nie dało jak tylko ufną poufałość z Miłosierdziem Bożym, już by przezwyciężyło w nas brzydotę zmaterializowanego świata i własny nasz zatroskany — czy to smutkiem, czy to sztuczną wesołością — lęk przed dziwnym życiem włóczęgów.

JAN WINNICKI

[1]) A. D. B. Wyndham Lewis: Francois Villon, London, Davis 1928, przedmowa Belloc'a.

KRADNĄ Z RUIN KOŚCIOŁÓW

Warszawska „Rzeczpospolita" z 13 lipca narzeka, że w Warszawie t. zw. szabrownicy (czyli złodzieje) wywożą cegłę z ruin zabytkowych budowli.

„A więc stwierdzono — pisze dziennik — że ze Starego Miasta wywozi się furmankami dla celów użytkowych cegłę gotycką z kościołów, klasztorów i zabytkowych kamienic. Cenne fragmenty kamieniarskie i szczegóły metalowe, precyzyjnie wykonane, są rozszabrowane (przez okoliczną ludność) z Pałacu Krasińskich (Pałac Rzeczypospolitej) na Placu Krasińskich. W ten sposób znikają powoli szanse rekonstrukcji tej historycznej budowli. Podobnie dzieje się z klasztorem Dominikanów na Starym Mieście i z ruinami Teatru Wielkiego na Placu Teatralnym, z których znikają nawet fragmenty marmurowe."

Dr J. JASNOWSKI

Sarbiewski w Anglii

Dawna Polska, Polska królewska, posiadała wielu wybitnych humanistów, znanych i cenionych w Europie. Na czoło wybiło się przede wszystkim czterech: Wilnianin kardynał Stanisław Hozjusz, jedna z największych postaci Kościoła Powszechnego; jego sekretarz, Wielkopolanin ks. Stanisław Reszka, najwybitniejszy XVI-to wieczny znawca grecko-rzymskich starożytności; poeta Szymon Szymonowicz, urodzony we Lwowie, syn wielkopolskiego krawca z Brzezin (— i magistra filozofii Krakowskiej Akademii...), do którego, jak do jakiejś literackiej świętości pisywali i zjeżdżali wielcy humaniści Zachodu; i Mazur, Jezuita, ks. Kazimierz Maciej Sarbiewski, największy poeta polski przed Mickiewiczem.

Sarbiewski cieszył się wielką sławą w Anglii, gdzie jego łacińskie utwory były często tłumaczone na język angielski. Niezwykłe piękno jego poezji sprawiało, że najzagorzalsi purytanie wybaczali ich autorowi fakt tak sobie nienawistny, iż był on Jezuitą...

Pierwsza połowa 17 stulecia jest okresem powolnego wycofywania języka łacińskiego z nauki, dyplomacji i literatury i zastępowania go językami narodowymi. Równocześnie jednak jest to okres, kiedy poezja łacińska po raz ostatni, jakby na pożegnanie, zabłysła szeregiem talentów, których skala dorównywa, a niekiedy nawet przewyższa to, co nam w spuściźnie pozostawili najwybitniejsi poeci starożytnego Rzymu.

Do ich liczby należy Kazimierz Maciej Sarbiewski, bezsprzecznie najbardziej utalentowany poeta polski 17 stulecia.

Sarbiewski tkwi po uszy w kulturze rzymskiej i w poezji Catullusa, Horacego i Owidiusza; naśladuje ich formę i tematykę, a nawet ucieka się do mitologii rzymskiej dla osiągnięcia tych samych efektów estetycznych, które widział w utworach swoich mistrzów.

Jest jednak w jego poezji pewne novum, które — mimo języka i formy, zbliża jego utwory bardziej do poezji nowoczesnej niż do klasyków łacińskich. Owo novum — to jego sposób patrzenia oczyma poety na piękno natury i na otaczający go świat oraz sposób pojmowania i wyrażania odczuć, zwłaszcza religijnych. Aspekty te miały u liryków rzymskich najczęściej ornamentacyjny i formalny charakter; u Sarbiewskiego są wyrazem jego naturalnych dyspozycji duchowych, przezierających swoją nowoczesnością poprzez martwotę łaciny i koturnowy styl, narzucony przez wzory klasyczne. Dzięki temu Sarbiewski jest znacznie bliższy poezji nowożytnej niż poezji klasyków rzymskich, którym starał się dorównać, a których pod wielu względami przewyższył.

Jego irracjonalizm poetycki — poza niesłychanie subtelnym odczuciem natury — wyżywa się najdoskonalej w utworach o charakterze religijnym, które stanowią zasadniczą nutę całej jego twórczości.

W Polsce znajomość utworów poetyckich Sarbiewskiego ograniczyła się do bardzo wąskich kół i gdyby nie troska Jezuitów (Sarbiewski był członkiem ich zakonu) pozostałyby one zapewne w rękopisie, dzieląc w najlepszym razie losy utworów W. Potockiego.

Pierwszym krajem, gdzie Sarbiewski doznał wyższego, niż we własnej ojczyźnie uznania była Anglia. Ze względu na dominujący w jego utworach pierwiastek religijny stał się nasz poeta szczególnie bliski purytanom, którzy znaleźli w jego poezji kongenialne odzwierciedlenie własnych zrywów i tęsknot religijnych. Dla piękna i głębokiej, natchnionej religijności jego utworów przebaczono mu nawet to, że był Jezuitą, pomijając ów fakt w publikacji jego wierszy całkowitym milczeniem.

Już w kilka lat po śmierci Sarbiewskiego, bo w r. 1646, pojawiło się w Londynie pierwsze angielskie tłumaczenie wyboru jego ód i epigramów, dokonane przez niejakiego *G. Hills'a*. Tłumacz wydał je, wraz z tekstem łacińskim (idącym równolegle do przekładu angielskiego) p. t. „*The Odes of Casimire*.” Książeczka ta, niewielkiego formatu, ozdobiona jest drzeworytem, przedstawiającym w alegorii geniusz Sarbiewskiego oraz zaopatrzona krótkim wstępem, zalecającym jego wiersze oraz usprawiedliwiającym tłumacza z niedoskonałości przekładu.

Hill's pominął milczeniem prawdziwe nazwisko naszego poety, dając zamiast tego zlatynizowaną formę jego pierwszego imienia: Casimire. Odtąd, poprzez dwa stulecia z górą, Sarbiewski jest znany w Anglii pod tym właśnie nazwiskiem.

Mniej więcej w tym samym czasie co i Hills tłumaczeniem poezji Sarbiewskiego na język angielski zajął się znany wówczas teolog i wierszopis Henry Vaughan, który w zbiorze własnych wierszy i przekładów, wydanych w r. 1651 p. t. „*Olor Iscanus*” pomieścił tłumaczenie sześciu ód Sarbiewskiego, podając jego nazwisko również jako Casimire.

Przekład (jak to wynika z przedmowy dedykacyjnej, skierowanej pod adresem lorda Kildare Digby) dokonany był już w roku 1647 lub może nawet wcześniej.

Po tłumaczeniach Hills'a i Vaughan'a nastąpiła, zdaje się dłuższa, bo stuletnia prawie przerwa, w czasie której nie zdołaliśmy stwierdzić wyraźnego zainteresowania się Sarbiewskim, wyrażającym się w postaci tłumaczeń jego utworów na język angielski.

Nawrót do tych zainteresowań spotykamy dopiero w połowie 18 stulecia, zapewne pod wpływem nowego klimatu poetyckiego, wytworzonego pseudo-religijnymi uniesieniami Edwarda Younga. Teolog i poeta tego okresu James Hervey w swych „*Reflexions on a Flower-Garden*” (1748) podjął ponownie próbę przyswojenia językowi angielskiemu trzech pieśni polskiego poety Casimire, pisząc o nim jako o autorze powszechnie znanym w Anglii.

Do spopularyzowania utworów Sarbiewskiego w Anglii w pełnym tego słowa znaczeniu najbardziej przyczynił się znany teolog i poeta Dr Izaak Watts.

Watts był i jest po dziś dzień najpopularniejszym angielskim poetą religijnym, autorem hymnów i pieśni śpiewanych w kościołach anglikańskich. Utwory jego znajdują się w każdym modlitewniku i śpiewniku religijnym. Faktem jest również, że Watts był przez całe życie miłośnikiem i propagatorem utworów Sarbiewskiego. W wydanym w r. 1777 zbiorze studiów („*Essays, Moral and Litterary*”) poświęcił on specjalną rozprawę „polskiemu poecie Casimire,” sławiąc go jako najwybitniejszego poetę łacińskiego wszystkich czasów. Niezależnie od tej rozprawy w wydanym wkrótce po niej zbiorze własnych utworów poetyckich, Watts pomieścił kilkanaście tłumaczeń i parafraz utworów Sarbiewskiego (głównie o treści religijnej).

Cała zresztą twórczość poetycka Watts'a była jednym wielkim naśladownictwem Sarbiewskiego.

Współczesny Watts'owi krytyk piszący w r. 1793 o wartości jego poezji stwierdza co następuje: „słyszałem wielu, szczególnie wśród biedaków, powtarzających na łożu śmierci niektóre wiersze Watts'a z takim głębokim uczuciem, iż zamknęłoby to usta nawet najzagorzalszemu niedowiarkowi. Z tego punktu widzenia oceniam je bardzo wysoko. Kiedy jednak podchodzę do tych wierszy jako badacz i krytyk — widzę je w całkiem innym świetle. Mimo to, jakakolwiek jest ich wartość — *Casimire* był z całą pewnością mistrzem i wzorem dla ich autora. Od niego bowiem zapożyczył, z niego skopiował znacznie więcej, niż się przypuszcza, dopóki się nie porówna utworów Watts'a z ich pierwowzorem: z utworami Casimire.”

Nowa i ostatnia już fala zainteresowań Sarbiewskim w Anglii przyszła wraz z romantyzmem. Zapoczątkował ją Samuel Taylor Coleridge, który cenił bardzo wysoko naszego poetę. „Po Lukrecjuszu i Statiusie — pisał o nim — nie znam innego łacińskiego poety, który by mógł być porównany pod względem delikatności swej wyobraźni poetyckiej do Kazimierza Sarbiewskiego. Również i jego język osiąga stopień doskonałości, równy językowi najwybitniejszych poetów złotej epoki Augusta.”

O wiele wyraźniejszym dowodem zainteresowania niż powyższa opinia są nowe przekłady poezji Sarbiewskiego, wydane w Anglii w okresie romantyzmu. W roku 1821 pojawia się w zbiorze utworów własnych oraz przekładów J. Kitchnera tłumaczenie siedmiu ód Sarbiewskiego, obok tłumaczeń z Horacego, Aischylosa, Sofoklesa, Eurypidesa i Arystofanesa. Tytuł tego zbioru jest „*Translations from Casimire*” co wymownie świadczy, pod czyimi auspicjami był poczęty.

Ostatnie tłumaczenie Sarbiewskiego na język angielski pojawiło się w r. 1848, dokonane przez R. C. Coxe'a. Tym razem tłumacz, mimo iż był duchownym (Hon. Canon of Durham and Vicar of Newcastle upon Tyne) wybrał nie religijne wiersze Sarbiewskiego, ale jego „*Silviludia Poetica*,” zawierające przepiękne opisy przyrody, prześcigające, pod względem formy i języka wszystkie ody tego poety.

Przekład Coxe'a jest najdoskonalszym ze wszystkich tłumaczeń Sarbiewskiego na język angielski, naśladujący umiejętnie nie tylko ducha, ale i formę poetycką oryginału. W wydaniu tego tłumaczenia pomieszczono— obok angielskiego przekładu — również i łaciński tekst oryginału. W tytule („*Wood-Notes: The Silviludia Poetica of M. Casimir Sarbievius*”), podane zostało *po raz pierwszy* pełne i prawdziwe nazwisko naszego poety (zamiast Casimire), choć w zlatynizowanej formie.

J. JASNOWSKI

PAWEŁ JACHOWICZ

O postępie

Co to jest postęp? Kiedyś — nie tak dawno jeszcze — zdawało mi się, że potrafię dać mniej więcej zadawalającą odpowiedź na to pytanie. Ale od kiedy zacząłem czytać prasę krajową — rozumiem coraz mniej.

W tych wszystkich *Kuźnicach, Odrodzeniach, Przekrojach, Chłopskich Drogach, Pobudkach* i *Trybunach*, roi się od takich powiedzeń:

„Żaden jednak człowiek nie zaprzeczy, że w tej chwili decydują w Polsce siły *postępu*”...

„Państwo ludowe — to państwo dynamicznych sił *postępu*...”

„Wrogie *postępowi* siły chwytały się zawsze ze pozostałości i nawyki myślowe, aby je wykorzystać dla swoich celów...”

„Nauczyciel ze swej funkcji społecznej jest i być musi szermierzem *postępu* ...”

„Dopiero radykalna zmiana ustroju wsi polskiej pozwoliła ruchowi ludowemu powrócić w jego dawne, *postępowe* łożysko...”

No i bądźże tu z tego mądry!

Dopiero mały wierszyk w jednym z numerów „*Przekroju*” trochę rozjaśnił mi w głowie:

Postęp

Czego się chwalisz,
pytał raz zdrowy —
że masz paraliż?
— Bo postępowy!

Tak! Oto ten malutki i — powiedzmy — nie bardzo mądry wierszyk odsłonił mi w paru skrócie cały sens i znaczenie słowa „postęp” w ustach dzisiejszych władców Polski.

Postęp — to jest wszystko, co służy do sowietyzacji, co przynosi korzyść dorabiają komunistom, co przekręca i wykoszlawia rzeczywistość, zaciemnia umysł i paraliżuje wolę walki o wolność Polski. To wszystko jest postęp. *Postępowe* jest przekręcanie i przeinaczanie oczywistych faktów, *postępowe* jest tumanienie umysłów, jak najbardziej *postępowy* i pożądany jest paraliż, — paraliż woli przeciwstawienia się tym wszystkim zabiegom komunistycznym.

Według schematu, wbijanego od 2 lat bez wytchnienia w głowy polskiego czytelnika, świat dzieli się na dwie części: komunistów — ludzi przyszłości, właśnie tych, którzy niosą postęp, światło, dobro i szczęście powszechne ludzkości — i nie-komunistów (wsteczników, faszystów, reakcjonistów), którzy są wrogami postępu, światła, dobra i szczęścia.

Podział ten jest prostacki i naiwnie śmieszny, nie mniej jednak powtarzany stale, osiąga swój skutek: wykoszlawia pojęcie rzeczywistości, zaciemnia umysł i paraliżuje wolę.

Pozwolimy sobie zilustrować to na małym przykładzie. Oto korespondencja z Argentyny niejakiego Jana Nowaka, zamieszczona w „Odrodzeniu”, z dn. 6.VII. b.r.:

„Zupełnie to samo było w Berlinie, kiedy Hitler doszedł do władzy. Ale w Niemczech nie miało się tego uczucia napięcia i strachu — przynajmniej nie w tym stopniu, co teraz w Argentynie — powiedział dziennikarzowi amerykańskiemu w Buenos Aires pewien Żyd, który uciekł z Niemiec w 1938 roku.

„Tak, to jest niewątpliwie. Peron (prezydent Argentyny, przypisek redakcji) buduje totalne państwo według wzorów faszystowskich. Związki zawodowe uczynił narzędziem państwa. Uniwersytety uczynił narzędziem państwa. W szkołach wprowadził wojskowe wychowanie młodzieży. Głośniki ryczą z samochodów, urządza się dnie „szarego człowieka,” — jednym słowem dostarcza się ludności wszelkich rozrywek „państwa doskonałego.”

Oczywiście, skoro tak się dzieje w Argentynie, to wszystko to jest faszyzm, czarna reakcja i obskurne wstecznictwo, Peron zaś — jak się każdy łatwo domyśla — krwawy wróg ludu.

Ale popatrzmy, jak te sprawy wyglądają w carstwie moskiewskiego samodzierżcy?

Czy Sowiety uczyniły związki zawodowe narzędziem państwa? — Uczyniły. Czy uniwersytety uczyniły narzędziem swej władzy? — Uczyniły. Czy w szkołach sowieckich wprowadzono wojskowe wychowanie młodzieży? — Wprowadzono. Czy w sowietach głośniki ryczą z samochodów? Czy urządza się tam stale pochody mas ludowych, — jednym słowem, czy dostarcza się tam stale ludności wszelkich rozrywek „państwa doskonałego”? — Ależ tak! Robi się tam to wszystko stale!

A jak się to nazywa w języku komunistów? Ponieważ dzieją się te rzeczy tym razem w Sowietach, więc jest to: świetny postęp, prawdziwa demokracja, wzór wszelkich doskonałości i przykład do naśladowania!

Tak więc dla tych urabiaczy polskiej opinii, ta sama rzecz — zależnie od tego gdzie i kto ją robi — raz jest biała, raz czarna, raz — postępowa, raz wsteczna.

Oto jeszcze jeden przykład. W małej notatce w „Kuźnicy” pisze jakiś ph:

„Dopiero radykalna zmiana ustroju wsi polskiej pozwoliła ruchowi ludowemu *powrócić w jego dawne, postępowe łożysko, na linię tradycji...*”

I zaraz obok:

„program uniwersytetów ludowych, trzymając się uparcie *dawnych koncepcji kulturalnych i* politycznych stał się w nowej rzeczywistości *programem wstecznym.*”

DOKOŃCZENIE NA STR. 8

To, o czym chcę mówić teraz[1]), to już nawet nie jest bielmo, to po prostu wielka katarakta oczna, której istnienie niebezpiecznie wykrzywia obraz rzucany przez rzeczywistość na ekran kory mózgowej człowieka. Sprawa jest niełatwa do wytłumaczenia. Wiąże się z najgłębszymi pokładami psychiki. Zjawisku temu ulega w mniejszym lub większym stopniu każdy człowiek; powoduje je inklinacja do kompromisu powstająca na tle zwykłego egoizmu, od której żaden z nas nie jest wolny. Ale rozpiętość różnic w uleganiu temu wpływowi jest pomiędzy ludźmi olbrzymia.

Siła przekonywująca egoizmu

Ile razy o tym zjawisku myślę, a pasjonuje mnie ono od dawna, nasuwają mi się przykłady z fizyki. Wpływ masy na otoczenie. Grudka ziemi nie wywiera widocznego wpływu, ale wielka masa ziemi powoduje potężne przyciąganie. Coś podobnego musi istnieć również w zakresie zjawisk psychicznych. Mała grupka fanatyków rewolucyjnych może zyskiwać zwolenników, ale nie wytwarza magnetycznego fluidu, który obraca ku sobie i przyciąga masy ludzkie. Rzecz zmienia się dość radykalnie, gdy ci rewolucjoniści opanują szóstą część świata, zorganizują potężne państwo, mają swoje wpływowe ministerstwo spraw zagranicznych, mają swoją armię, policję, mogą rozdawać posady i decydować o karierze całego życia.

Nie mówię tu o programowych oportunistach, którzy z zasady cynicznie ustosunkowują się do życia. Mówię o przeciętnym, porządnym człowieku, który nigdy nie powie: Są silni, więc muszę przed nimi kapitulować. Odbywa się tu proces o wiele subtelniejszy. Pytanie-pokusa, które się zjawia, brzmi: A może przecież oni mają rację, a dotychczasowy mój błąd polega na tym, że w sądzie o nich nie uwzględniłem jakiegoś czynnika?

Problem polega nie na samym zjawieniu się pytania (obiektywnie takie dążenie do wszechstronności było by bardzo dodatnie), błąd tkwi w rodzaju przyczyny zjawienia się tego pytania i jego dalszych losach w psychice człowieka. Pytanie nie było by się w ogóle zjawiło, gdyby nie było owej masy i potęgi sukcesu. To raz. Powtóre, odpowiedź na nie nie była by wypadała tak, jak wypada wobec istnienia i działania potęgi sukcesu: wobec jej istnienia układana jest w atmosferze życzliwej stronniczości. *Wynik jej jest inny, niż byłby w bezinteresownym badaniu, nie jest obiektywny.*

Ten stan rzeczy powstaje w najrozmaitszych okolicznościach: działa na jego powstanie masa przestrzeni, wielkości, powodzenia, potężnego prądu mody. Niejednokrotnie działają przyczyny bardzo szlachetne i bardzo sympatii godne: stan konieczności rodzinnej, nostalgia, chęć pozostawania z bliskimi w ciężkim okresie i t.p.

Trzeba w większości tych zjawisk upatrywać głęboką tragedię, w którą człowiek współczesny został wpędzony, ale trzeba sobie równocześnie zdawać sprawę z tego, że te stany psychiczne uniemożliwiają trafną ocenę rzeczywistości. Oceny dokonywane przez ludzi dotkniętych takim działaniem masy sukcesu, bez względu na to, czy powstaje to z pobudek szlachetnych, czy z oportunizmu, są pozbawione wartości, przynoszą tylko szkodę. Jeśli myślenie ma przynosić człowiekowi w życiu praktycznym pomoc, musi być wyzwolone zarówno z wpływu, jaki wywiera rekwizyt codzienny, jak i z o wiele trudniejszego do wykrycia wpływu form i treści wielkich osiągnięć politycznych.

Stan takiej wolności wewnętrznej nie jest łatwy do wytworzenia w sobie, wymaga w wielu wypadkach cnót kosztownych i trudnych. Może jednak istnieć nawet w tych wypadkach, kiedy okoliczności życiowe zmuszają człowieka do udania się i życia na terenie przemocy psychicznej. Wówczas człowiek, jak czyni to człowiek w dzisiejszej Polsce, zmuszony jest żyć niejako w dwóch płaszczyznach: w jednej zewnętrznej, która jest fałszem, i w drugiej wewnętrznej, która ani o źdźbło nie poddaje się tamtej, i która jest prawdą.

Pułapka analogii

Chciałbym na końcu tego katalogu przeszkód w jasnym rozeznawaniu świata zanotować dwa jeszcze zjawiska, które dość szeroko są rozpowszechnione.

[1]) Porównaj tegoż autora: „W czasach zamieci," Nr. 11, „Życia;" „Bielma i katarakty," Nr. 12 „Życia."

Józef KISIELEWSKI

W CZASACH ZAMIECI

Zasadzki, podstępy i sidła

Pragnę zatrzymać się teraz na chwilę nad zasadzkami, jakie nastawiają na człowieka, pragnącego jasno myśleć, jego mechaniczne nałogi i przyzwyczajenie.

Gdy nie można znaleźć szybkiej odpowiedzi na jakieś trudne pytanie, człowiek ucieka się zwykł o pomoc do analogii historycznej. Czy to słuszna metoda? Czy rzeczywiście badaniem przebiegu Kongresu Wiedeńskiego po wojnach napoleońskich i zapadłych na nim decyzji można pomóc sobie w zrozumieniu tego, co się teraz dzieje, oraz przewidzieć zdarzenia przyszłe? I przeciwnie — czy łatwiej zrozumie się to wszystko, jeśli się odrzuci całe doświadczenie historii i wyjdzie się z założenia, że wszystko zaczyna się na nowo?

Odpowiedzi na te pytania mają bardzo wielkie znaczenie dla sposobów, jakimi będziemy dochodzili do definicji w poszczególnych sprawach, dlatego tymi pytaniami się zajmuję. Artykuł dzisiejszy jest niejako dopełnieniem dwóch poprzednich, umieszczonych w „Życiu" i zamyka uwagi wstępne do dalszych rozważań.

J. K.

Chodzi mi przede wszystkim o wskazanie na szkody, które powoduje przypisywanie przesadnej roli analogii. Gra ona w życiu współczesnym wielką rolę. Nie mogąc żyć bez odpowiedzi na dręczące pytania, a nie znajdując własnym staraniem dostatecznie zadawalających, szuka ich człowiek w stosowaniu analogii. Analogie zaczęły się stawać pewną odmianą cieszącego się uznaniem wieszczbiarstwa i kabalistyki.

Jeden z wybitnych socjologów polskich, zajmując się przed wojną zagadnieniem analogii, w ten sposób charakteryzuje ją samą i użyteczność jej stosowania: Załóżmy, że na jakiś wypadek, czy sytuację składa się sto różnych elementów. Całość jest jednym organicznym zjawiskiem. Ma więc również jedno określone znaczenie. Ponieważ rzeczy dzieją się w podobnym środowisku ludzkim, w niezbyt odległych od siebie czasach, zdarza się, że po pewnym okresie przytrafi się nowe zdarzenie, czy sytuacja *podobna* do pierwszego. Powiedzmy, że jest w nim 80 elementów identycznych z elementami zdarzenia pierwszego i 20 elementów nowych. Ponieważ identycznych jest większość, a człowiek szuka łatwych i szybkich rozwiązań, przeto — po dociągnięciu szczegółów — przyjmuje się, że znaczenie tych dwóch zjawisk jest to samo, i ogłasza gotową diagnozę dla współczesności na podstawie rezultatu, jaki zna ze zjawiska dawnego. Błąd polega na tym, że wypadki, które są do siebie *podobne*, wzięte zostały za wypadki *takie same.*

Mówiono na przykład w ostatnich czasach szczególnie wiele o *Kongresie Wiedeńskim,* jako o tym kongresie pokojowym, który również kończył okres długich, przełomowych wojen, rewolucji i zamieszek. Pisze się o Kongresie Wiedeńskim prorocze książki. Na uwagę o przewlekaniu się różnych obecnych narad pokojowych, wybitny profesor angielski oświadcza wyniośle: Popatrzcie, jak długo ciągnęły się kłótnie po wojnach napoleońskich, a mimo to Kongres Wiedeński były jednym z najowocniejszych kongresów pokojowych. Dał nam blisko sto lat pokoju.

W rzeczywistości istnieją dwa conajmniej ważne powody, dla których Kongres Wiedeński i pertraktacje odbywane w tej chwili są zupełnie, zasadniczo różne od siebie. Pierwszym jest to, że Kongres Wiedeński kończył okres głębokich zmian, które zanazły w jego postanowieniach swoją wykończoną formę, a nasze czasy są dopiero na początku okresu przemian i daleko im jeszcze do gotowej formy. Dobrze się jeszcze o jej kształt ludzie i ludy naawanturują.

Drugą przyczyną jest to, że mocarstwa zawierające na Kongresie Wiedeńskim „święte przymierze" wyznawały *wszystkie* tę samą ogólną doktrynę polityczną, a w naszych czasach w obrębie *trzech* układających się mocarstw istnieją *dwie* zaciekłe przeciwstawiające się (z tego jedna czynnie i agresywnie) doktryny filozoficzne, ustrojowe i gospodarcze.

Podobieństwa więc pozorne, zewnętrznie — olbrzymie, znaczenia jednak zupełnie różne. Wzięcie przez W. Brytanię i St. Zjednoczone przy końcu drugiej wojny światowej tego podobieństwa z okresem wojen napoleońskich za pewnik, może świat kosztować bagatelę: jeszcze jedną wojnę!

Analogie są zawsze niebezpieczne, ale szczególnie niebezpieczne stają się w czasach przełomu. Jeśli człowiek posługuje się analogią w obrębie jednej i tej samej epoki, szkoda nie jest zbyt wielka. Podobieństwa mogą być, istotnie, bardzo duże, zwłaszcza, że pewne sytuacje mają tendencję chodzenia stadami. Nieszczęście zjawia się wówczas, gdy analogią chce się posłużyć człowiek do dwóch różnych epok, których sąsiedztwo czasu skłania do wierzenia podobieństwom, ale zasadnicze różnice czynią te podobieństwa czysto pozornymi.

Tak jest w chwili obecnej.

O ile czasy nasze są różne od dawnych?

Schodzimy do ostatniej grupy zagadnień, które pragnę poruszyć, do przeszkód oceny i rozeznania, płynących z tendencji przeciwnych do wiary w analogie, a mianowicie, z egzaltowanego przekonania o odmienności naszych czasów.

Zwracałem poprzednio uwagę, że człowiek współczesny pod wpływem niezrozumiałych dla siebie lub niespodzianych wypadków wpada często w rodzaj przesady na temat zachodzących zmian. Wydaje mu się, że wszystko wczorajsze minęło, i że na świat przychodzi jakieś nowe zupełnie życie.

Takie przekonanie jest, oczywiście, niesłuszne.

Kłopoty, które przeżywamy, są bardzo duże i bolesne, ale są to ostatecznie tylko szczegóły na tle wielkich procesów historii, która operuje setkami i tysiącami lat, a w ich obrębie ostatecznie ciągle tymi samymi zasadami. Tor, łożysko, ramy, prawa działania się wypadków, człowiek — wszystko to ciągle jest takie samo i w odniesieniu do tych spraw egzaltacja śmieszna jest i dziecinna. Świat spraw ludzkich obraca się na bardzo nie wielu osiach, które były takie same dawniej i będą takie same w przyszłości.

Zmienia się w obrębie tych ram i form treść historyczna, co pewien czas zmienia się zasadniczo. W pierwszej a może i w drugiej połowie XX. w. przeżywamy czas takiej wielkiej zmiany w odwiecznych naczyniach historii. I z tego trzeba sobie zdawać sprawę.

Tak więc i tu, jak we wszystkim innym, między skrajnością analogii i skrajnością odmienności zalecony jest umiar i szukanie drogi między dwoma ekstremami: nie zadaleko w przekonaniu, że wszystko się zmienia i nie za głęboko w przeświadczeniu, że wszystko właściwie jest zawsze tak samo.

Jeśli chodzi o treść wewnętrzną naszych czasów, to zmienia się ona bardzo gruntownie. Zmienia się przede wszystkim dlatego, że przybyły w wielkiej liczbie nowe zjawiska, których przedtem nie było: w przeciągu stu lat ilość mieszkańców ziemi podwoiła się, odległość przy pomocy nowych środków komunikacyjnych skurczyła się, nowy zespół narzędzi wyparł stary i jest doskonalszy, przybyły nowe środki energetyczne, wyzwolono najpotężniejszy — energię atomową. Wyliczanie można by ciągnąć dalej.

Powie ktoś, że wszystkie te nowości napływały stopniowo, od stu lat.

Tak, to prawda, że te nowe siły i prężności przybywały od dawna. Ale rzeczywistość dotychczasowa ze względów samozachowawczych broniła im ujawniania się i *samodzielnego* prawa obywatelskiego. Odsuwane, zbierały się w zakamarkach, w zaułkach niezadowolenia, w slumsach pokrzywdzenia i długi czas nie mogły, nawet przy ich pomocy, wyjść w pełni na wierzch. Aż, gdy się poprzez wyrąbaną szczelinę pierwszej wojny światowej przedarły, buchnęły na świat całą swą sprężoną niecierpliwością. Im dłużej były duszone, tym silniej teraz prą. I dlatego jest nam dziś tak trudno złapać oddech.

Przybywanie nowych składników zmienia rzeczywistość bardzo gruntownie nie tylko ilościowo, ale gatunkowo. To nie jest arytmetyczne działanie dodawania, to mnożenie i podnoszenie do potęgi. Zjawienie się samolotu o szybkości poddźwiękowej to nie jest tylko kształt życia poszerzony plus samolot o szybkości dźwięku. *To jest już nowy kształt życia odmienny od poprzedniego.*

Tych spraw nie bardzo się rozumie. To z przyczyn nieumiejętności takiego zrozumienia na przykład, choć się wiedziało o wszystkich nowych udoskonaleniach wojennych, nikt w Polsce nie potrafił sobie *wyobrazić* wyglądu zbliżającej się w 1939 r. wojny. Co dziwniejsze, że jeszcze także po kampanii w Polsce Francuzi nie umieli sobie nowoczesnej wojny wyobrazić. Zrozumieli ją dopiero, odbierając cięgi. Tak więc z melancholią należy zauważyć, że często, niestety, dopiero rózga wpływa na przyśpieszenie myślenia.

Okazuje się, że człowiek wypracowuje sobie w mózgu gotowe i statyczne narzędzia do ogarniania treści życia. Jest tych gotowych narzędzi tyle, ile jest gotowych form rzeczywistości. Tyle podziałek na skali aparatu odbiorczego, ile zarejestrowanych stacji nadawczych. Gdy ktoś założy nową stację, aparat jest do niczego: nie odbierze jej, bo nie ma odpowiedniego w mechanizmie trybu. Ucho ludzkie słyszy dźwięki tylko o pewnej określonej ilości drgań, np. o częstotliwości 400 okresów na sekundę. Nie znaczy to jednak, że nie ma innych dźwięków, tylko my ich nie słyszymy, ponieważ nasz aparat odbiorczy nie umie ich odbierać.

Podobnie jest również z naszym sposobem ogarniania rzeczywistości. Zamiast używać najwspanialszego aparatu, jakim jest mózg, w sposób swobodny i nieskrępowany, wytwarzamy w mózgu kolekcję schematycznych miarek, które idą w ruch, gdy strumień wrażeń wpływa przez zmysły. Gdy tym strumieniem płyną rzeczy znane, wszystko jest w porządku, człowiek rozumie rzeczywistość, ocenia ją właściwie, słusznie postępuje. Lecz gdy zaczynają napływać rzeczy nowe, wtenczas następuje katastrofa, człowiek się gubi.

Wypływa stąd wniosek, że należy się wystrzegać rozeznawania rzeczywistości poprzez gotowe formułki i miary, a stawać wobec każdego nowego zdarzenia w stanie świeżości intelektualnej i nieobciążenia żadnymi kompleksami, uprzedzeniami i przesądami. Przystępując do rozpatrywania nowego zdarzenia, czy nowej sytuacji, człowiek powinien zachowywać się tak, jak musi zachowywać się chirurg, przystępując do operowania swego pierwszego w życiu wypadku.

Zwolennicy posługiwania się analogią uciekają się do argumentu tradycji i konieczności opierania się na doświadczeniach historii. Jeszcze jedno pomieszanie rzeczy słusznych z fałszywymi. Ależ nikt nie wyrzeka się wartości lekcji historycznych! Stający do zmagania się ze współczesnością człowiek, może i musi być pełen gruntownej wiedzy historycznej, tylko że nie w postaci wzorków z czytanek i pustych sztanc, ale w postaci ukształtowanych przez znajomość dziejów swoich władz umysłowych.

Podobnie chirurg, nie przepowiada sobie przecież podczas trudnej operacji, kiedy wytrzymałość serca pacjenta liczy się na minuty, zapamiętanych wypadków prosektoryjnych, ale doświadczenie z tysięcy ich ma złożone w mózgu i palcach. Tym doskonalszy jest, im spontaniczniej zjawia się szybkość i celność decyzji, a pod palcami celowość ruchów.

Wielkie dziedzictwo historii w człowieku, stającym do rozprawy z teraźniejszością, winno być złożone w nim samym, osadzone we władzach jego umysłu, a nie skolekcjonowane w postaci sztywnego rejestru faktów, wśród których w chwili doraźnej potrzeby będzie gorączkowo szukał wytrycha do otwarcia nowego zamka.

* * *

Tak więc do całej trudności naszych czasów dołącza się i to jeszcze, że myśl ludzka znajduje się w pętach, czy też zaplątała się w głębokie koleiny torów, których jest więźniem. Pętom i kompleksom, bielmom i kataraktom zawinił sam człowiek, sam pozwala im na sobie pasożytować. Jedna grupa pęt i bielm pochodzi z tego, że człowiek daje zbyt krańcowo wpływać na siebie rekwizytom materialnym, pozorom rzeczy, druga grupa — jakby nie dość było tamtych — pochodzi z dobrowolnej inicjacji samego człowieka. W rzeczywistości wszystko to jest jednym i tym samym: pętami nałożonymi na myśl, na wspaniały a potężny aparat poznawczy i kierowniczy, który człowieka może wyprowadzić z dzisiejszej mgły.

I dlatego jednym z pierwszych obowiązków człowieka jest pęta te rwać.

JÓZEF KISIELEWSKI

KRONIKI

POLSKA

PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ

Pieprzyk

„W numerze bieżącym drukujemy na pierwszej stronie reportaż przychodni chorób wenerycznych. Stan zdrowia w Polsce jest przerażający. Podobno mamy około 3 milionów chorych, t. j. co ósmy człowiek jest zarażony. Dziś o ascezę i wstrzemięźliwość wołają lekarze. Trzeba zdać sobie sprawę, że pornografia jest jednym z czynników, który przyczynia się do szerzenia się klęski. 114 numer „Przekroju" przynosi zdjęcie pół nagiej kobiety z podkreśleniem (niby osłaniającym) szczegółów anatomicznych. Podpis pod ilustracją brzmi jak następuje:

„Niejaka miss Bernice Rubens, nauczycielka historii w jednej ze szkół średnich w Anglii, wpadła na interesujący pomysł wykorzystania szkolnych ferii letnich. Zaangażowała się mianowicie do pewnego londyńskiego teatru, gdzie w sztuce „Salome" Oskara Wilde tańczy „taniec siedmiu welonów." Taniec ów polega na obnażaniu się tancerki aż do granic „dozwolonych przez Lorda Majora Londynu," a sądząc po zdjęciu, należy wnosić, że miss Rubens pokazuje widzom ciało pedagogiczne dużej klasy. — Pomysł jej, łączący umiejętnie przyjemność z zarobkowaniem w godzinach poza szkolnych, godny jest uwagi. Przeto zwracamy nań uwagę naszym młodym nauczycielkom. Oczywiście winny zaczynać od tańczenia przed radą szkolną, aby zostało komisyjnie stwierdzone, czy mają co pokazywać dla dobra sztuki i oświaty."

„Przekrój" ma podobno 200.000 nakładu. Czytają go najszersze warstwy, czyta go masowo młodzież. Co robi „Przekrój"? Oto budzi w młodzieży męskiej wulgarne skojarzenia w stosunku do nauczycielek. Dla redakcji jest to zapewne t. zw. „pieprzyk," mający robić kasę. Czas skończyć z tym „pieprzykiem," który jest demoralizowaniem młodzieży.

(TYGODNIK POWSZECHNY)

Brak kapłanów w Polsce

Po ostatniej wojnie, która poczyniła tak wielkie szczerby wśród kapłanów katolickich w tych krajach, które padły ofiarą okupacji wroga, odczuwa się katastrofalny brak księży katolickich. Ubytek ten tłumaczy się też i tym, że młodzież nie mogła wstępować do seminariów duchownych i dlatego dziś trzeba wielu lat, by nie tylko zastąpić tych, co zginęli, ale też i podołać nowym zadaniom. Zjawisko to jest prawie powszechne, ale szczególnie ostro występuje w Polsce powojennej.

Znany w Polsce specjalista w sprawach statystyki Kościoła o. Marian Pirożyński, redemptorysta, mieszkający i pracujący obecnie we Wrocławiu, podał ostatnio szereg cyfr, które w pełni podkreślają ten brak księży w Polsce. Szczególnie tragicznie jest na Ziemiach Przyłączonych, gdzie często jest po kilku księży na powiat. Administracja Apostolska w Gorzowie potrzebuje w tej chwili aż 300 księży. Są powiaty, gdzie pracuje tylko 2 księży i są miasta, gdzie na 40 tysięcy mieszkańców jest tylko 4 księży, którzy obsługują dwie duże parafie i 9 szkół.

Ogólnie bierze się pod uwagę, ilu wiernych powinno przypadać na jednego duszpasterza. Otóż za idealną cyfrę uważa się tylu parafian, aby duszpasterz mógł ich znać i nimi się naprawdę zająć. Lecz tak idealnych stosunków prawie nie było. Najbardziej zbliżone do tego ideału warunki można było znaleźć przed wojną w Holandii, gdzie na duszpasterza przypadało około 500 wiernych. A dzisiaj w Polsce na jednego księdza przypada od okrągło biorąc 1.100 do 3.500 parafian. Przeciętnie w całej Polsce około 2.000.

Ale tu gra rolę jeszcze jeden czynnik, a mianowicie rozległość parafii, którą duszpasterz ma obsłużyć. I pod tym względem stosunki w Polsce są często bardzo ciężkie. Wielkość parafij jest bardzo rozmaita i waha się od niespełna 19 km. kw. do 192 km. kw. Gdybyśmy sobie wyobrazili, że parafia jest geometrycznym kołem, wówczas najdalej, a więc na obwodzie tego koła, mieszkający parafianie mieliby też najdłuższą drogę do kościoła a proboszcz do nich. Otóż w najbardziej rozległych parafiach polskich ich „promień" wynosi około 8 km. Ale w rzeczywistości jest znacznie gorzej, bo ani kształt obszaru parafii nie jest tak regularny ani kościół nie znajduje się właśnie w jego środku. Przeciętna parafia ma 52,2 km. kw., promień 4 km.

Ten brak kapłanów w Kraju sprawił, że obowiązki kapłanów, jeżeli chodzi o nauczanie religii, musiało przejąć wiele osób świeckich. Bardzo aktualną też sprawą stało się pielęgnowanie powołań kapłańskich, aby seminaria duchowne zapełniły się młodzieżą, która weźmie na siebie obowiązek duchowego kierownictwa rzesz wiernych w tak przełomowych dla Polski i jej wiary chwilach. (IP).

Żyjemy w Chinach

„Zapragnąłem wyjechać do Pragi. Oczywiście — trzeba złożyć w tym celu całą kolekcję papierów. Między innymi — poświadczenie obywatelstwa. Można służyć w wojsku, głosować, płacić podatki, być urzędnikiem państwowym, nawet ministrem — mimo to nie jest się jeszcze obywatelem. Obywatelem zostaje się dopiero po otrzymaniu poświadczenia obywatelskiego. A poświadczenie otrzymać można — jeśli łaska — po dostarczeniu szeregu najrozmaitszych gatunków papieru.

Najpierw — metryka, co dla Warszawiaka przedstawia sporą trudność. A więc — dwóch świadków „poświadczonych" — „korowody" ze świadkami zabiorą ci dobre parę dni. Potem poświadczenie zamieszkania — to na szczęście otrzymuje się szybko (tylko jeden dzień stracony). Wreszcie — świadectwo moralności.

To ostatnie wystawia komisariat milicji, jeśli mieszkało się na jednym miejscu parę lat. Jeśli nie — komisariat musi dopiero przeprowadzić na twój temat „wywiad." Na „wywiad" taki czekasz z dziesięć dni, bo komisariaty są zawalone pracą. Wreszcie — pewnego dnia, gdy leżę jeszcze w łóżku, zjawia się u mnie młodziutki, sympatyczny milicjant z pliką papierów w ręku.

— Przyszedłem na wywiad — mówi.

— Doskonale — mówię.

— Zawód pana?

— Muzyk — mówię (może to pójdzie gładziej).

Oczy młodzieńca zabłysły.

— Muzyk?! A w tej niemieckiej Filharmonii, co tu była za czasów okupacji, to pan nie grał?

— Nie grałem, mówię, bo po pierwsze nie byłem w Krakowie, ale w Warszawie, po drugie nie jestem muzykiem orkiestrowym, a po trzecie, choćbym nawet grał, to przecież członkowie orkiestry Filharmonii GG już dawno zostali zweryfikowani.

Oczy młodzieńca zabłysły jeszcze silniej.

— Ale w Warszawie pan grał w niemieckiej Filharmonii?

— Nie grałem, mówię, bo tam takowej nie było. A gdyby nawet była to: po pierwsze... itd.

Rozmowa w tym duchu prowadzona trwa dobry kwadrans, przy czym odznacza się idealną gołosłownością: ja absolutnie niczym swoich zeznań nie udowadniam, przedstawiciel władzy żadnych dowodów nie wymaga. Wreszcie, po kwadransie — uznał mnie za moralnego. Dlaczego? — nie wiem — widocznie miał intuicję. Na zaświadczenie — oczywiście — trzeba było jeszcze parę dni poczekać.

Zebrawszy po trzech tygodniach wszelkie papiery, składam je gdzie należy. Każą mi przyjść za pięć dni. Przychodzę, czekam trzy godziny w ogonie — okazuje się, że jeszcze nie ma. Każą mi przyjść za trzy dni. Przychodzę — okazuje się, że to sobota, a w soboty nie wydają. Przychodzę za dwa dni, czekam cztery godziny, wreszcie — poświadczenie obywatelstwa dostaję. Proponuję urzędniczce, aby dała mi kilka kopii — ona odmawia. Jeśli więc poświadczenie będzie mi jeszcze kiedyś potrzebne — trzeba zaczynać całą rzecz od początku.

Wychodzę z urzędu i tarzam się po klombach gryząc kwiaty.

Ale nie znacie mnie jeszcze: niedoczekanie! Komunikuję uprzejmie P. T. Odnośnym Władzom i wszem wobec, że ostatni raz byłem legalistą, obecnie schodzę do podziemia. Gdy następnym razem zapragnę pojechać do Pragi, spakuję w plecak tysiąc amerykańskich papierosów i trzy kilo słoniny, pojadę do Zakopanego, przez Liliowe czy Międzyguszowiecką dostanę się na czeską stronę, w Szczyrbie wsiądę w pociąg — i nie będąc obywatelem — pojadę do Pragi. Wrócę tą samą drogą.

A jeśli zechcę udać się do Paryża — zaproszę na wódkę znajomych kolejarzy, którzy zabiorą mnie jako bagaż w skrzyni. W Paryżu każę się odwieźć do nowego attache kulturalnego polskiej ambasady, Jerzego Zagórskiego, wyjdę ze skrzyni i powiem: macie mnie, róbcie ze mną co chcecie, nie mam papierów, nie mam paszportu, nie mam obywatelstwa, ale istnieję: myślę, więc jestem!

...biurokracja jest tematem wiecznym, jest chorobą społeczną i umysłową, której nigdy się nie wyczerpie i nie zgłębi.

Nieprzeliczone zastępy umęczonych ludzi bez twarzy siedzą po tysiącznych biurach w całej Polsce i dla niezrozumiałych przyczyn torturują chińskimi ceremoniami ludność tego kraju. Zajęciu temu oddają się setki tysięcy zdrowych i normalnych (na razie) ludzi, miast siać i orać nad Odrą i Nisą.

Sterty papieru rosną a rosną. Przy czym rzecz arcyciekawa: ani torturujący, ani torturowani nie wiedzą absolutnie, po co się to wszystko robi. O tym wiem tylko ja jeden: to są chińskie obrzędy i chińskie męki, nakazane przez naukę wielkiego chińskiego mędrca **Sia-No-Wmuz-Gu**, a wyłożone w jego wielotomowym dziele **Psu-Na-Bu-De**. Żyjemy przecież w Chinach!"

STEFAN KISIELEWSKI

„TYGODNIK POWSZECHNY

„AŻEBY JEDNO ŁĄCZYŁO NAS SŁOWO"

Ten tytuł — to wyjątek z „Trenu na śmierć gen. Świerczewskiego" pióra tow. Mieczysława Jastruna w „Odrodzeniu", z czerwca b. r.

Nielada figurą musiał być ten „gen. Świerczewski" w reżimie komunistów „warszawskich" i nie byle jakie wiązano z nim nadzieje, skoro teraz, po jego śmierci, tyle i tak hymnicznie o nim piszą.

Sam towarzysz generał Grosz kończy o nim książkę, której fragmenty drukuje w reżymowej prasie wojskowej.

Oto wyjątki z rozdziału: *„Gdy rodziło się Wojsko Polskie"* (Żołnierz Polski" z 26.VI.47):

„Maj 1943 roku był nad wyraz piękny. Droga dobra i niedaleka. Czasu jazdy starczyło akurat na rozpamiętywanie ostatnich, pełnych napięcia dni w Moskwie, uwieńczonych uchwałą Rady Komisarzy Ludowych ZSRR zezwalającą Związkowi Patriotów Polskich w ZSRR na utworzenie Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

„Obok małej stacyjki kolejowej Diwowo skręt z szosy w lewo. Kilkanaście kilometrów polnej, ale nie złej drogi i *wyjeżdżamy na brzeg Oki.*

Rzeka do złudzenia przypomina Wisłę. Za kilka tygodni będzie też cała dywizja śpiewała: *„Płynie, płynie Oka, jak Wisła szeroka"*...

„W pięlnym lesie sosnowym, na wysokim („warszawskim") brzegu Oki, letni obóz szkoły oficerskiej w Riazaniu, dzisiaj obóz przyszłej polskiej dywizji.

„I już nazajutrz — pierwsi rekruci. Dziesiątkami, setkami, a wkrótce tysiącami zaczęli przybywać ze wszystkich zakątków ZSRR...

„Ale... brak oficerów. Tysiące, dziesiątki tysięcy żołnierzy i podoficerów..., a oficerów nie ma... Wyprowadzając swój Korpus ze Związku Radzieckiego, Anders skrzętnie pozabierał wszystkich niemal oficerów polskich...

„Jedyne rozwiązanie — szkolić nowych, awansować podoficerów, *albo też — pożyczyć oficerów od sojusznika.* Wybrana została ta właśnie droga. *Błogosławiona decyzja.* Były w jej realizowaniu na początku pewne trudności. *Trzeba było tłumaczyć żołnierzowi przyczyny sięgnięcia po oficerów radzieckich.* (!) Jeśli (jednak) w rekordowym czasie powstała 1 Dywizja, a z niej 1 Korpus, 1 Armia i Wojsko Polskie, to jest w ogromnej mierze zasługą tych oficerów radzieckich.

„Wśród oficerów tej grupy pozycję wyjątkową reprezentował Karol Świerczewski, jeden z czołowych budowniczych odrodzonego Wojska Polskiego. Jego przyjście do naszego wojska, przyjście przesławnego gen. „Waltera," który miał przebogate doświadczenie tworzenia i wychowania współczesnej armii ludowej w Hiszpanii — wszystko to było *tak wielkim szczęściem dla naszego wojska, żeśmy się nie posiadali z radości.*

„Świetny dowódca, a zarazem człowiek nie tylko głęboko doceniający wyjątkowe znaczenie pracy polityczno-wychowawczej w naszym wojsku, ale umiejący nią pokierować, mądrze doradzić w trudnej sytuacji — czyż to nie ideał dla pracy w naszych trudnych warunkach, gdy żołnierza trzeba było nie tylko umundurować, wyszkolić i nakarmić, *ale również wychować w duchu tak odmiennym od tego wszystkiego, czym żyło Wojsko Polskie przed 1939 r. i od tego, czym żył Korpus Andersa na ziemi radzieckiej?"*

No, tak! Teraz już zaczynam rozumieć, że istotnie nie lada wysiłku trzeba było włożyć w pracę „polityczno-wychowawczą," żeby „wychować w duchu tak odmiennym od tego wszystkiego, czym żyło Wojsko Polskie przed 1939 r.," te dziesiątki tysięcy polskich nieszczęśliwców, które — niestety! — zostały na „gościnnej" ziemi sowieckiego „sojusznika."

Teraz już zaczynam rozumieć, co miał na myśli tow. Jastrun, pisząc o gen. Świerczewskim:

„Nie zakończona jeszcze twoja walka,
Hiszpanii, Polski, świata generale,
czy pójdziesz jeszcze do
Grecji, za Bałkan,
czy cię powiozą Atlantyku
fale?"

I nawet zaczynam się już domyślać, jakie to

„jedno łączyło nas słowo
w Jaramie gorzkiej, w Madrycie, w Warszawie."

Znam to słowo. Słyszałem je nie raz wyrykiwane przez maszerujących bojców:

„Maskwa maja,
lu-bi-ma-ja!...

Zeta

„Repatrianci"

Jalu Kurek opisuje w krakowskim „Dzienniku Polskim" (182) baraki repatriacyjne PUR'u na Prądniku.

„Gnieździ się tam około 300 osób, w warunkach ostatecznej biedoty. Są to przesiedleńcy ze wschodu, przeważnie ludzie starzy, niezdolni do wyjazdu na zachód; niektórzy z nich siedzą tu już z górą rok... Nie można się opędzić przykremu nawrotowi wizji, jeśli się zwiedziło niedawno bloki Brzezinek pod Oświęcimem. Tam były podobne prycze, tylko, że tu jest jeszcze ciemniej... Jak można systemem koszarowym gnieździć obok siebie na dole i na górze starych i młodych, kobiety i mężczyzn, męża z żoną, podrastające dzieci obojga płci, ludzi właściwie sobie obcych, żyjących własnym życiem, których tylko nędza łączy?...

Jedna z kobiet mówi: Mam dziecko. Oferowano mi pracę w przedszkolu fabrycznym pod Opolem. Pensja miesięczna 1.200 zł. Jak wyżyć z dzieckiem za 1.200 zł. miesięcznie?...

Kiedy idą w miasto, ubrani nędznie, oferując szycie lub pranie, mieszkańcy odnoszą się do nich pogardliwie. Jedna z kobiet mówi mi, że ciśnięto jej w twarz słowo: hołota... Niektórzy może zgubili sens życia w tej przeprowadzce. I cóż przywieźli tu pod drewniany dach baraku? Tobołek, a w nim głupstwo jakieś, drobiazg, czyli nic. I co mają po roku pobytu w baraku? Ten sam tobołek i może jeszcze kurę uwiązaną na sznurku pod pryczą...

Czy to ma być ich ziemią obiecaną, do której przyjechali ze wschodu?"

W dżungli statystyki

Prof. Czekanowski, rozesławszy ankietę do 5 tysięcy urzędów parafialnych w diecezji lubelskiej i tarnowskiej, stwierdził na Radzie Naukowej w Krakowie, że jego wnioski pozwalają na optymizm w ocenie demograficznego rozwoju Polski. Z wyjątkiem Górnego Śląska, przyrost osiągnął już poziom z lat 1931 — 1932.

Natomiast miesięcznik „Problemy" (4) stwierdza, że Główny Urząd Statystyczny posiada materiały, dowodzące „katastrofalnego, wręcz fantastycznego spadku urodzeń, ale także i umieralności, a liczby małżeństw świadczyćby mogły jedynie, że wstępujemy w okres powszechnego celibatu."

Powód jest ten, że liczby Gł. Urzędu Statystycznego są fałszywe. Dostarczają ich Urzędy stanu cywilnego, przez ludność powszechnie (z wyjątkiem woj. poznańskiego i pomorskiego) bojkotowane i „nic nie wróży osiągnięcia w ciągu najbliższych lat takiego usprawnienia rejestracji, któreby umożliwiło zaprowadzenie statystyki, nie będącej nią tylko z nazwy." Artykuł domaga się nowelizacji prawa małżeńskiego w tym kierunku, by udzielenie ślubu religijnego było zależne od uprzedniego zawarcia „małżeństwa prawnego."

Książka Bocheńskiego

W kraju wydana została książka Aleksandra Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce," uznana przez krytykę reżimową za pierwszą cenną pozycję „rewizjonizmu historycznego."

O książce pisze „Gazeta Ludowa" (180): „Jest w jego (Bocheńskiego) sądach o ludziach jakiś nieprawdopodobny prymitywizm, zupełne nieliczenie się z tragicznym nie raz splotem niewiadomych, wśród których działać musieli i pobierać decyzje statyści polscy. Nie ma żadnego zrozumienia dla problemów honoru i sumienia...

Arbitralność i bezbrzeżna wprost zarozumiałość autora odgradza go, miejmy nadzieję, od wpływu na młode pokolenie. A zupełna amoralność jego stanowiska nie może nie dziwić człowieka, który jest czynnym działaczem katolickim. Bocheński nie tylko nie uznaje w polityce kryteriów moralnych, ale się z nich natrząsa...

Kto w tragedii polskiej ostatnich lat dostrzega tylko „głupotę", kto w zmaganiach narodu z losem widzi tylko błędy, a nic poza nimi, ten nie ma danych do ferowania wyroków."

GŁÓD LITERATURY RELIGIJNEJ

Według obliczeń statystyków polskich zapotrzebowanie na wydawnictwa religijne jest nadal bardzo duże i tym się tłumaczy, że mimo trudnych warunków, a w szczególności mimo braku papieru wychodzi coraz więcej książek i broszurek religijnych. W r. 1946 książki treści religijnej stanowiły 7,2% wszystkich książek, a w pierwszym kwartale 1947 — 8,7% ogółu.

Należy jednak stwierdzić, że przydziały papieru na niektóre książki katolickie są dość małe, natomiast komuniści otrzymują ogromne ilości papieru na swe wydawnictwa. Ponadto wśród wydawnictw katolickich przeważają dzieła ściśle religijne, natomiast odczuwa się brak prac na tematy aktualne, zmierzających do oświetlenia dzisiejszej rzeczywistości polskiej. Tu na przeszkodzie stoi bezlitosna cenzura, która konfiskuje nawet mowy wygłoszone w Sejmie.

Dobra i Stalowa Wola

„Czy pamiętacie Irenę Eichlerówne? Swą świetną karierę aktorską rozpoczęła — o ile mnie pamięć nie myli — występem w głośnej ongiś sztuce „Fraulein Doktor," a przerwała w r. 1939 występem w nie mniej głośnej sztuce „Szaleństwo," wystawionej tuż przed wojną przez Teatr Narodowy w Warszawie. Teraz jest wice-przewodniczącą PCK w Rio de Janeiro, skąd ma przyjechać do Polski, ale — póki co — siedzi w Brazylii i wścieka się.

Przysłała do Centrali PCK w Warszawie list.

Okazuje się, że Eichlerówna zorganizowała na terenie Brazylii zbiórkę odzieży dla kraju, zapakowała tę odzież i osobiście wyekspediowała polskim parowcem „Stalowa Wola," po czym otrzymała zawiadomienie, że znajdująca się w paczkach... żywność zamokła, wobec czego paczki wyrzucono! „Zmontowaliśmy PCK — pisze Eichlerówna — z wielkim trudem, na skutek ogólnej nieufności, wobec kradzieży w Polsce. Sprawa „Stalowej Woli" przybrała tu rozmiary afery, pociągającej za sobą dochodzenia, sprawy sądowe itp. Robiliśmy wszystko, by wzbudzić zaufanie u ludzi, że ich bliscy pomoc otrzymają — i wywołać na przyszłość jakąś powszechniejszą ofiarność. Przykro mi, że tyle wysiłków ludzi dobrej woli z zewnątrz kraju idzie na marne i ciągle nie można rozboju w kraju opanować."

*

Niedawno przyjechał z USA inny człowiek dobrej woli. Emigrant sprzed lat 20-tu, chciał zorientować się, czy nie dałoby się zorganizować masowego powrotu do kraju z USA farmerów pochodzenia polskiego. Zacnego marzyciela już na pierwszym etapie, na linii Gdynia-Kraków okradziono różnymi sposobami na łączną sumę ok. 100.000 zł., wobec czego zrezygnował z zamiaru namawiania ludzi w USA do powrotu na „ziemię opryszków," jak nazwał Polskę w chwili gwałtownego wzburzenia.

Nie wiem, jakimi słowy przemawiać do obywateli-złodziei. Nie wiem, jak ich nakłonić, żeby nie kradli na granicy, ale dopiero wewnątrz kraju i nie przyjezdnych, ale stałych mieszkańców. — Drogie świnie! Zrozumcie, że gdybyście nie rozkradli tych paczek z Rio i nie okradli tego faceta z USA, to napływałyby dalsze paczki i liczni inni faceci z dolarami i powiększałby się ogólny dobrobyt w kraju, a wówczas mielibyście więcej do kradzenia, jeślibyście kradli rozsądnie, według moich wskazówek.

Bo o tym, żeby u nas przestano kraść w ogóle, to nawet nie marzę!

(PRZEKRÓJ, Nr. 116) J. W.

SPRAWA INDII

„...jest jednym z najbardziej skomplikowanych zagadnień Imperium Brytyjskiego. Wobec dążeń niepodległościowych Hindusów, Anglicy oświadczyli gotowość opuszczenia Indii. Wówczas jednak doszło tam do ostrych walk o władzę między Muzułmanami zjednoczonymi w Lidze Muzułmańskiej i Hindusami, wyznawcami polityki Gandhiego. Wobec tego Anglicy zdecydowali się „z żalem" pozostać i zachować nadzór nad krajem, „zezwalając" na podział Indii na szereg państw, które... im bardziej by się kłóciły, tym łatwiej dałyby się rządzić. — Hindusi oczywiście nie chcą się na to zgodzić, dochodzi do coraz to nowszych demonstracji i aresztowań, a Anglia coraz to bardziej „ubolewa," że mieszkańcy Indii tak mało są wyrobieni politycznie i tak nie dorośli do samostanowienia o sobie. Wydaje się jednak, że gdyby im na serio pozwolono decydować o własnym losie, to wrogie sobie obozy hinduskie łatwiejby się dogadały wprost między sobą, niż z pomocą „zatroskanej" Anglii." (PRZEKRÓJ, Nr. 116)

Napewno tak! Napewno wrogie sobie obozy hinduskie łatwiejby się dogadały między sobą wprost i same, bez niczyjej pomocy i obcego wtrącania się w ich wewnętrzne sprawy, spontanicznie, żywiołowo, z entuzjazmem i jednogłośnie uchwaliłyby w powszechnym plebiscycie prośbę do najwyższej rady ludowej Sowietów o przyjęcie ich do szczęśliwego grona kochających się ludów ZSRR.

I co ciekawsze, że owa najwyższa rada również napewno zgodziłaby się zaopiekować się tymi kłótliwymi hindusami. I pogodziłaby ich! O, pogodziłaby napewno! Żeta

PIĄTEK NIE JEST DNIEM BEZMIĘSNYM

Jedno z pism katolickich w Polsce skrytykowało zarządzenia władz warszawskich wprowadzające na terenie Warszawy trzy dni bezmięsne, nie zaliczyły one do nich piątku. W roku ubiegłym władze komunistyczne postąpiły podobnie, ale na skutek protestów katolickich zgodziły się zaliczyć piątek do dni bezmięsnych.

*

PRUSY WSCHODNIE — powiada korespondent „New Leader" — są miniaturą Europy zdewastowanej przez wojnę. Były one pierwszym obszarem niemieckim, na który weszły wojska rosyjskie i tu najskrajniej przejawiły się zemsta i nienawiść Rosjan. Chorobami wenerycznymi zarazili Rosjanie 80% kobiet. Przed oddaniem tych obszarów Polsce Rosjanie wywieźli na wschód wszystko, co dało się ruszyć, potem zaczęli palić domy, oszczędzone przez bitwy i bombardowania.

Dziś można jechać godzinami, nie widząc nietkniętego domu. Miejsce ludności niemieckiej, deportowanej przeważnie do Rosji, zajmuje ludność polska. Polacy ci przybywali na pustynię, nie posiadając niczego. Widziałem kobietę, która miała 3 kury i co nocy brała je pod łóżko, w obawie, że jej skradną tak wielki majątek. Do rządu ludność, jak zresztą w całej Polsce, odnosi się z nieufnością.

3.306 SPRAW ROZWODOWYCH wpłynęło od 1 stycznia 1946 do sądu okręgowego w Warszawie. Z tych około 70% wynikało ze zgody stron. Przeciętny wiek małżeństwa waha się od 33—45 lat (w jednym wypadku — oboje powyżej 70 lat), przeciętny czas trwania pożycia przed rozwodem 5—12 lat. Małżeństwa są przeważnie bezdzietne.

STANTON GRIFFIS, nowy ambasador USA w Warszawie, oświadczył w pierwszym swym wywiadzie prasowym, że rodzina jego pochodzi z miasta Pułaski w stanie N. York. On sam ma wielu przyjaciół wśród Amerykanów polskiego pochodzenia. „Swą pracę w Polsce rozpoczynam od złożenia hołdu Najśw. Panience na Jasnej Górze. Pragnę dodać, że jestem zaprzyjaźniony z kardynałem Spellmanem."

— Katedra na Wawelu odniosła podczas działań wojennych poważne szkody, które obecnie, pod kierunkiem najwybitniejszych konserwatorów polskich, są usuwane.

— W Kruszwicy powstało muzeum Ziemi Kujawskiej, które zgromadziło szereg wartościowych pamiątek z przeszłości Słowian nad jeziorem Gopłem.

— Znany hotel warszawski „Bristol," liczący 200 pokojów, oddany został, po usunięciu zniszczeń wojennych do użytku w końcu lipca b. r.

— W dniu 1 lipca Warszawa liczyła 548.000 mieszkańców, z czego na Pradze zamieszkiwało 196.000 osób.

— W wyniku zbiórki na rzecz odbudowy Warszawy, trwającej w całym Kraju od 1 września 1946 r. do 30 czerwca 1947 r. zebrano 434.981.767 zł. Nowa zbiórka ma się rozpocząć w dniu 1 sierpnia r. b.

— Do 15 czerwca r.b. opuściło Polskę 1.828.000 Niemców. Obecnie w Polsce znajduje się jeszcze około 350.000 Niemców, którzy mają opuścić Kraj do października r.b.

— 20 klinik medycznych całkowicie wyposażonych, ofiarował Polsce Szkocki Czerwony Krzyż.

— W pierwszym miesiącu akcja zbierania odpadków dla przemysłu przyniosła 4,5 miliona kg. surowców odpadkowych wartości 150.000 dolarów.

— Ze względu na wielki wkład pracy sołtysów ministerstwo Ziem Odzyskanych postanowiło przyznać im wynagrodzenia. Jest to pierwszy tego rodzaju wypadek w Polsce.

— Posąg z brązu słynnego kondotiera weneckiego Bartolomeo Colleoniego ofiarowało m. Szczecin Warszawie.

— W Nowym Yorku wzniesiony zostanie pomnik ku czci poległych podczas powstania w ghecie warszawskim Żydów polskich.

— Na terenie Ziem Odzyskanych w miasteczku Trzciel (Ziemia Lubuska) prowadzona jest hodowla bobrów, licząca 150 sztuk tych rzadkich zwierząt.

A L G I E R

KSIĄDZ LOTNIK

Ks. L. Mermel, przełożony Białych Ojców w Chardaie w Algierze, którego opiece duchowej podlegają katolicy, zamieszkujący Saharę, odwiedza swych wiernych samolotem, przelatując z jednej oazy do drugiej. Ks. Mermel służył jako pilot w lotnictwie francuskim i brał udział w około 200 operacjach powietrznych nad Niemcami. Doskonała znajomość pilotażu umożliwia mu teraz wykonywanie obowiązków duchownych na wielkich przestrzeniach tej pustyni.

B E L G I A

KATOLICY BELGIJSCY ŻYCZĄ SOBIE POWROTU LEOPOLDA

Belgijska Partia Chrześcijańsko Społeczna powzięła na ostatnio odbytym Kongresie Narodowym rezolucję podjęcia wszelkich kroków w kierunku umożliwienia powrotu króla Leopolda, który w ogłoszonym niedawno sprawozdaniu został oczyszczony z zarzutów, wysuniętych przez koła lewicowe.

Powtórnie wybrany kierownik partii M. de Schrijver oświadczył delegatom, że obie sekcje partii, flamandzka i walońska zgodnie postanowiły trwać w wierności dla króla, monarchii, rodziny królewskiej oraz konstytucji.

„Ten Kongres — dodał — ma nadzieję, że Partia Chrześcijańsko Społeczna uzyska w Belgii większość dla powzięcia narodowej rezolucji, która umożliwiłaby królowi powrót do ojczyzny." (W)

N I E M C Y

ŻOŁNIERZE SOWIECCY WYKUPUJĄ RÓŻAŃCE

. Ze sklepów w sowieckiej strefie okupacyjnej Niemiec znikły całkowicie *różańce*. Nastąpiło to nie na skutek jakiegoś nowego ruchu antyreligijnego. Przeciwnie zarówno różańce jak i inne artykuły o przeznaczeniu religijnym zostały wykupione przez żołnierzy sowieckich i wysłane rodzinom.

Czy różańce dotrą do miejsc przeznaczenia, tego przewidzieć nie można. Jak dotąd władze sowieckie robiły wszystko możliwe, aby przeszkodzić narodom Zw. Sowieckiego w otrzymywaniu wszelkich rzeczy z zagranicy, które mogłyby wzbudzić zainteresowanie cywilizacją zachodnią lub zachęcać je do praktyk religijnych. (The Universe)

DWIE TRZECIE MILIONOWEJ RZESZY UCHODŹCÓW TO KATOLICY

Prawie 1.000.000 mężczyzn, kobiet i dzieci uznanych za uchodźców, Displaced Persons, pozostaje nadal w szeregu krajów europejskich pod opieką organizacji, która oficjalnie nie została właściwie jeszcze utworzona.

Świat znalazł się w obliczu tego zagadnienia z chwilą, gdy UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Association) w dniu 30 czerwca b. r. przestała funkcjonować.

Międzynarodowa Organizacja dla Uchodźców (I.R.O.) utworzy ona dla przejęcia dotychczasowej działalności UNRRA dla uchodźców, znajduje się nadal w stadium organizacji. Formalnie organizacja ta nie może rozpocząć swoich czynności, zanim 75% budżetu wynoszącego £ 150.000.000.- nie zostanie zaakceptowane bez zastrzeżeń przez 15 narodów wchodzących w skład organizacji.

Rosja Sowiecka odmówiła przystąpienia do I.R.O., Srany Zjednoczone zaś przystąpiły formalnie dopiero z dn. 1 lipca, zobowiązując się wpłacić 45,75% budżetu I.R.O. Sekretarzem generalnym Komisji Przygotowawczej I.R.O., mającej swą siedzibę w Genewie, jest Amerykanin *Arthur J. Altmeyer*.

Jak wynika z kontroli, przeprowadzonej ostatnio w centrach uchodźców podlegających I.R.O., dwie trzecie uchodźców — to katolicy, a nieco mniej niż jedna trzecia — żydzi

U. S. A.

ODZNACZENIE KARDYNAŁA SPELLMANA

Amerykański sekretarz wojny Petterson nadał w imieniu rządu amerykańskiego Medal Zasługi kardynałowi Spellmanowi, arcybiskupowi Nowego Yorku, za zasługi, położone dla narodów zjednoczonych podczas ostatniej wojny. Jest to jedno z najwyższych odznaczeń amerykańskich, nadawane tylko niewielu osobom za wyjątkowe zasługi.

KATOLICY W KONGRESIE U.S.A.

„American Catholic Sociological Review" podaje, że 79 Kongres Stanów Zjednoczonych miał 88 katolickich członków, z tego 11 senatorów a 77 posłów. Z tego więc wynika, że 11,5% spośród 96 senatorów, a 17,5% spośród 435 posłów Izby Reprezentantów było katolikami. W Stanach Zjednoczonych żyje 24 miliony katolików t. j. 17% całej 140 milionów liczącej ludności tego kraju. Wszyscy senatorowie i 66, t. j. prawie 88%, posłów katolickich należało do Partii Demokratycznej. Zarówno przewódca frakcji demokratycznej jak i frakcji republikańskiej w Izbie Reprezentantów byli katolikami. Ponadto 11 katolików zasiadało jako przewodniczący komisyj kongresowych.

Do następnego — a więc obecnego, 80-go Kongresu Stanów Zjednoczonych nie zostało wybranych 33 spośród 77 posłów katolickich, oraz 3 spośród senatorów katolików. W obecnym więc Kongresie zasiada 44 posłów i 8 senatorów katolików. Stan ten jest następstwem zwycięstwa Partii Republikańskiej w ostatnich wyborach do izb ustawodawczych U.S.A. (IP)

GROŹBA PENETRACJI KOMUNISTYCZNEJ Z POWODU NIEWOLNICZEGO PRAWA PRACY USA.

(W) Stowarzyszenie Katolickich Związków Zawodowych oraz biskupi amerykańscy przeciwstawiają się usilnie nowej amerykańskiej ustawie pracy, która krzywdzi świat robotniczy.

Wpływy komunistyczne w związkach zawodowych nie wykazały ostatnio poważniejszych osiągnięć, nie mniej jednak wyczuwa się, że obecne tak zwane „niewolnicze prawo pracy," stworzy okoliczności sprzyjające komunistom i skrajnej lewicy do głębszej penetracji.

Niezrozumiałe po prostu stają się pretensje komunistów, stanowiących nieliczną garstkę w związkach zawodowych, jeśli weźmie się pod uwagę następujące fakty: 1. liczba ludności Stanów oceniana jest obecnie na 140 milionów i orientacja jej w żadnym wypadku nie jest komunistyczna, 2. ludność ta jest albo kierunku demokratycznego albo republikańskiego, 3. nawet łagodny socjalizm pod kierunkiem N. Thomasa nie zrobił poważniejszych postępów, 4. żadna trzecia partia nie dokonała nigdy wyłomu w demokratyczno-republikańskim froncie.

Taktyka komunistów zmierza obecnie przez zebrania, na których nacisk kładzie się na wyróżnianie pewnych członków jakiegoś związku do rozszerzania przez nich wpływów. Najczęściej zebrania te są bardzo liczne i cechuje je burzliwość w usuwaniu żądań skrajnej lewicy.

Stanowisko katolików i prasy katolickiej jest zdecydowane. Prasa podaje przejawy i machinacje komunistów, nie sugerując sposobów walki i metod postępowania. Zasadniczą rzeczą jest utrzymanie status quo, które nie budzi obaw co do przyszłości całego republikańsko-demokratycznego frontu. („Catholic Herald") —

W I E L K A B R Y T A N I A

PAPIEŻ DZIĘKUJE ANGIELSKIM KATOLIKOM

W liście ogłoszonym przez Kardynała Griffina na zebraniu „Westminster Diocesan Association of Catholic Trade Unionists" Ojciec Święty wyraził podziękowanie dla angielskich katolików za ich modły i za ulżenie niedoli Europy.

Ojciec Święty mówi w tym liście, z jaką przyjemnością dowiedział się „że nasze lojalne dzieci w Anglii modlitwą i ulżeniem niedoli narodom europejskim walczą o zrealizowanie trwałego pokoju na ziemi w imię miłości chrześcijańskiej, jednoczącej wszystkie serca i umysły, co również jest dla Nas źródłem wielkiej pociechy." (W)

KRONIKI

ZWIĄZKI ZAWODOWE I KATOLICY

Chwila obecna nakłada nie tylko na narody, ale na każdego poszczególnego obywatela obowiązki natury przede wszystkim społecznej. Dziś każdy musi wziąć udział zarówno w odbudowie kraju jak i w ogólnym wysiłku celem utrwalenia światowego pokoju.

Robotnicy zorganizowani w związki zawodowe stanowią siłę, której wpływ na układ wydarzeń jest niezaprzeczalny. To też nie jest rzeczą obojętną, jaką drogę wybiorą robotnicy katoliccy.

Aktualność tego zagadnienia podkreśla przemówienie Kardynała Griffina, wygłoszone na pierwszym rocznym zebraniu Katolickiego Związku Zawodowego Diecezji Westminster. Przyznając, że w W. Brytanii związki robotnicze powstały na prawdziwie demokratycznych podstawach, Kardynał wezwał robotników do wstępowania do właściwych związków. Jednakowoż przymus należenia do związku jest oczywiście sprzeczny tak z zasadą jak i z istniejącą w Anglii praktyką wolności.

Następnie Kardynał Griffin zalecał branie czynnego udziału w pracach organizacyjnych związków, potępiając bierność, która w rezultacie prowadzi do podejmowania ogólnych decyzyj sprzecznych z wolą większości. Naturalnie robotnicy katoliccy powinni przystępować do związków katolickich, za pomocą których mogą skutecznie walczyć o zabezpieczenie społecznej sprawiedliwości, odpowiednich warunków pracy dla siebie i następnych pokoleń.

Oczywiście związki zawodowe muszą odegrać rolę, do której faktycznie zostały powołane. Prawa powinny odpowiadać obowiązkom. Tak jak pracodawca jest obowiązany sprawiedliwie wynagradzać pracownika, tak samo pracownik jest obowiązany dać odpowiedni ekwiwalent pracy. W szczególności robotnicy zatrudnieni w *upaństwowionych* gałęziach przemysłu mają obowiązki wobec społeczeństwa: *Nieoficjalne i nieuzasadnione strajki muszą być potępione.* Nawet wiele oficjalnych strajków trudno byłoby usprawiedliwić, jeśli niezawsze wyczerpano wszystkie możliwe sposoby ugodowego załatwienia sprawy.

Naczelną zasadą robotniczych organizacyj katolickich, według słów Kardynała Griffina winno być nieustanne dążenie do moralnego odrodzenia kraju. To może nastąpić, jeśli wszyscy zrozumieją swoją odpowiedzialność wobec Boga i ludzi. Głębokie przeświadczenie, że pracę naszą przeznaczamy Bogu, a wobec ludzi kierujemy się zasadami sprawiedliwości i miłosierdzia, doprowadzić może do stworzenia właściwej atmosfery w społeczeństwach.

W czasie powyższego zebrania Kardynał Griffin, stojąc przed statuą Matki Boskiej wyrzeźbionej w węglu, a ofiarowanej mu przez *polskich górników*, powołał się na słowa Papieża, który popiera „zakładanie towarzystw katolickich przy związkach zawodowych dla badania i stosowania zasad katolickich na tak ważnej placówce, jak organizacje pracy."

OBIETNICA MIN. BEWINA

Mr. Bevin obiecał Kardynałowi Griffinowi, że dokładnie zbada sprawę arcybiskupa Zagrzebia, Stepinaca.

— „Właśnie tydzień temu, oświadczył Kardynał Griffin, posłaliśmy dalszą rezolucję do ministerstwa spraw zagranicznych, protestującą przeciw uwięzieniu arcybiskupa Stepinaca.

Min. Bevin powiedział mi, że zajmie się tą sprawą z jak największą starannością."

„JEŚLI TA MATKA NIE JEST ŚWIĘTĄ..."

Kardynał Griffin, zwracając się do matek, które przybyły z pielgrzymką do Walsingham w ubiegłym tygodniu, przytoczył list, jaki otrzymał z Chin od misjonarza, opisujący modły pewnej matki, która codziennie przed Najświętszym Sakramentem błagała o łaskę powołania dla swych synów i córek.

Z jej 13 dzieci — 6-ciu synów zostało księżmi, z tego trzech posiada godność biskupów, a pięć córek wstąpiło do zakonu.

— „Bóg w cudowny sposób wynagrodził jej modlitwy. ...Jeśli ta matka nie była świętą, pisze ów misjonarz to trudno mi jest sobie wyobrazić, jaka inna kobieta na świecie mogła by nią być. A teraz w niebie, sądzę' wstawia się u Boga, prosząc o powołania duchowne. (The Universe).

WŁOCHY

ŚWIĘCENIA POLSKICH KSIĘŻY W RZYMIE

W kościele św. Apostołów w Rzymie otrzymali święcenia kapłańskie następujący polscy księża: ks. Wojciech Grzegorzek, ks. Zenon Zachwatowicz z Archidiecezji Wileńskiej, ks. Stanisław Siemiradzki, ks. Władysław Hulisz i ks. Władysław Zasłona ze Zgromadzenia O.O. Marianów. Nowo wyświęceni kapłani odprawili pierwszą Mszę św. w dniu 20 lipca.

ZGON O. BOLESŁAWA WOSKO

W dniu 17 lipca zmarł nagle w Rzymie O. Bolesław Wosko, pierwszy radca Generalnej Kapituły Zakonu O.O. Zmartwychwstańców. Zgon zasłużonego kapłana jest dla Zakonu stratą szczególnie bolesną, gdyż nastąpił w niespełna miesiąc po objęciu przez O. Wosko jego nowej godności. Po śmierci O. Wosko zostało w Kapitule Zakonu Zmartwychwstańców tylko dwóch Polaków: O. Władysław Kwiatkowski, drugi generalny radca i O. Józef Samborski, generalny ekonom.

BAZY AMERYKAŃSKIE W TOBRUKU I BENGASI

W rzymskich kołach dyplomatycznych krążą uporczywe pogłoski o anglo-amerykańskim porozumieniu w sprawie utworzenia amerykańskich baz lotniczych i morskich na północnym wybrzeżu Cyrenaiki, w Tobruku i Bengasi. Według pogłosek tych, obydwie bazy będą miały charakter wysuniętych ośrodków operacyjnych dostosowanych do celów amerykańskiej polityki w basenie Śródziemnomorskim. Wchodząc w posiadanie tych nowych punktów strategicznych, Stany Zjednoczone będą mogły bronić bezpośrednio amerykańskich interesów naftowych na Bliskim Wschodzie i pełnić nadzór nad północną granicą Turcji i Grecji.

PROJEKT WŁOSKO-FRANCUSKIEJ UNII CELNEJ

Włoski minister spraw zagranicznych p. Carlo Sforza przedłożył swemu rządowi projekt unii celnej z Francją, opracowany na wzór istniejącej już unii między Belgią Holandią i Luksemburgiem. Jak słychać, rząd francuski odniósł się do projektu p. Sforzy w sposób jak najbardziej przychylny, doceniając w pełni jego znaczenie nie tylko w stosunkach gospodarczych między Włochami i Francją, ale także dla rozwoju współpracy europejskiej w ramach planu Marshall'a.

DZIECI WŁOSKIE OFIARĄ MORZA I... NIEDBALSTWA OPIEKUNÓW

Podczas wycieczki morskiej wzdłuż wybrzeża Ligurii zatonął kuter wiozący 70 dzieci z kolonii letniej w Albenga (prow. Savona). W katastrofie znalazły śmierć 53 osoby, w tej liczbie 49 dzieci w wieku 5—12 lat. Resztę uczestników wycieczki zdołano uratować dzięki przytomności umysłu kilku letników, którzy wpław pośpieszyli z pomocą tonącym. Tragizm wypadku powiększył jeszcze fakt, że kuter zatonął na oczach kąpiącej się publiczności, w odległości zaledwie 60 metrów od plaży. Dochodzenia wykazały, że katastrofę należy przypisać niedbalstwu ze strony zarządu kolonii w Albenga. Prasa donosi, że w skład zarządu wchodzą wyłącznie członkowie i sympatycy partii lewicowych. O innej aferze na komunistycznej kolonii dla dzieci pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów.

KOMUNIŚCI WŁOSCY NIE CHCĄ BY W PRZYSZŁYCH WYBORACH MÓWIONO O CHRYSTUSIE

W przemówieniu na temat stosunku włoskiego komunizmu do Kościoła, przywódca partii komunistycznej p. Togliatti potępił „fakt monopolizowania religii" przez niektóre włoskie stronnictwa, gdyż — jak twierdził — w ten sposób podsyca się jedynie niepokój w „religijnym sumieniu narodu." Zdaniem mówcy, niepokój ten jest nieuzasadniony, albowiem we Włoszech nie ma stronnictw, które by zwalczały religię(?).

W pewnej chwili jednak p. Togliatti'emu wymknęło się następujące zdanie: „Chrystus i religia — to pojęcia obce naszej myśli politycznej. Kiedy trzeba będzie wybierać tych, co mają rządzić Włochami, wówczas nie będzie się mówiło o Chrystusie, lecz o realnych osiągnięciach."

Łatwo odgadnąć jakie „realne osiągnięcia" mają na oku włoscy komuniści. W tym wypadku jednak mowa p. Togliatti'ego chybiła celu, gdyż — wbrew intencjom mówcy — pobudziła jeszcze bardziej czujność tych stronnictw, które nie stawiają Chrystusa i religii poza nawiasem myśli politycznej. Polityka jest normą życia zbiorowego. Biada narodom, które spod tej normy usuwają podstawy chrześcijańskiej moralności.

DEFICYT I OBIEG BANKNOTÓW WE WŁOSZECH

Jak donosi agencja „*Economica Finanziaria*," obieg banknotów we Włoszech wynosił w końcu maja b. r. 565 miliardów 148 milionów lirów, w tym 79 miliardów lirów okupacyjnych (Am-liry). W samym miesiącu kwietniu b. r. obieg wzrósł o 16 miliardów 381 milionów lirów. Budżet państwowy za rok 1946/7 zamknie się deficytem w wysokości około 615 miliardów lirów.

LEONARDO DA VINCI KOMUNISTĄ, A JUDASZ— ANGIELSKIM SZPIEGIEM

W związku z zamierzanym odnowieniem słynnej „Ostatniej Wieczerzy" Leonarda da Vinci, ukazały się we włoskiej prasie komunistycznej popularne życiorysy artysty, które przedstawiają genialnego malarzą — oczywiście — jako wzór proletariusza i ofiarę „czarnej reakcji."

Komentując ten zabawny w swej głupocie chwyt komunistycznej propagandy, tygodnik „*Candido*" proponuje złośliwie komunistom, aby zmienili nawet nazwę arcydzieła, przemianowując „Ostatnią Wieczerzę" na „*Ostatnie zebranie pierwszego palestyńskiego sowietu.*"

Dla dokładniejszego zilustrowania treści malowidła „*Candido*" doradza umieścić pod nim następujące objaśnienie: „*Rzecz dzieje się w Palestynie, kiedy kraj ten nie był jeszcze wyzwolony przez Rosjan. Patrzcie, towarzysze, na podłą gębę Judasza! Był on reakcjonistą, szpiegiem i zdrajcą, który za garść srebrników sprzedał swój kraj angielskiemu najeźdźcy.*" (K).

ZMIERZCH RUBLA NA BLISKIM WSCHODZIE

W telegramach z Kairu i Teheranu prasa włoska donosi o pouczającym zjawisku gwałtownej zniżki sowieckiego rubla na „czarnych giełdach" Bliskiego Wschodu.

Według sprawozdań rzymskiego dziennika „*Il Tempo*", na nielegalnym rynku w Teheranie można nabyć dziś dowolną ilość sowieckiej waluty płacąc 1 dolara za 100 rubli, podczas gdy przed paryską konferencją kurs rubla w wolnej wymianie był cztery razy wyższy (1 dolar 25 rubli). Podobna tendencja zniżkowa daje się zauważyć także w Egipcie, w Palestynie i nawet w niektórych miastach bałkańskich, w pierwszym rzędzie w Sofii i w Salonikach. (K)

DYNAMIT ARGUMENTEM WALKI Z RELIGIĄ

W dalszym ciągu czynnej akcji przeciwko Kościołowi i klerowi katolickiemu, komuniści włoscy dopuścili się w tych dniach nowych aktów świętokradczych, bezczeszcząc w północnych Włoszech dwie kaplice i jeden kościół.

Rekord rozbestwienia zdobyli tym razem bezbożnicy miasta Imola (prow. Forli), którzy wysadzili dynamitem drzwi kościoła Zwiastowania N.M. Panny i pobili do utraty przytomności staruszka proboszcza, ks. Mino Martelli. W liście pasterskim biskup diecezji Imola oznajmia, że rzucił klątwę na materialnych wykonawców zamachu i na tych, co z ukrycia kierują zbrodniczą akcją.

O postępie

ZE STRONY 4

Więc jakże to jest właściwie? Na czym polega postęp? I co to jest postęp?

Zdaje się, że najszczerzej odpowiada na to pytanie tow. Sokorski w „Odrodzeniu":

„Zasada kontrolowania nauki przez porównywanie jej z wciąż nowymi osiągnięciami wiedzy o człowieku, jest warunkiem każdego naukowego badania, *jeżeli nie chcemy zamiast prawdy obiektywnej operować założeniami teologicznymi, które mają dzisiaj już tylko historyczną wartość.*

Państwo ludowe, jako państwo dynamicznych sił postępowych, winno mieć możność koordynowania i planowania wysiłków społeczeństwa, ...a zwłaszcza *zadaniem państwa jest konfrontacja dociekań naukowych z życiem i jego osiągnięciami.*

Niezbędnym jednak warunkiem dla osiągnięcia tego celu jest przezwyciężenie niechęci do metody dialektycznego myślenia..."

Tak! Teraz już rozumiem: postęp — to przezwyciężanie niechęci do metody dialektycznego myślenia!...

*

Cyprian Kamil Norwid, który z Polski w 1842 roku, jako 20-letni młodzieniec wyjechał i całe życia, aż po dzień śmierci 22 maja 1883 r. w przytułku św. Kazimierza w Paryżu, jako emigrant polityczny w Belgii, Anglii, Stanach Zjednoczonych i Francji ciężką pracą na nędzne utrzymanie zarabiał, pozostawił w spuściźnie po sobie utwory piękności przedziwnej, głębi i prostoty niezrównanej.

Pragnę tu zacytować to, co ten właśnie poeta polski, a głęboko wierzący katolik napisał o postępie:

„Cała tajemnica postępu ludzkości zależy na tym, aby coraz więcej stanowczo, przez wcielanie dobra i rozjaśnianie prawd, broń największa, jedyna, ostateczna, to jest *męczeństwo uniepotrzebniało się na ziemi...*

Aby nie było, albo coraz mniej było tego, co Chrystus Pan w smutku człowieczeństwa swojego orzekł: „Nie jest prorok bez czci, tylko w Ojczyźnie swojej i w domu rodziców swoich..."

„Postęp prawdziwy dąży owszem do tego, aby prorok, to jest sumienny mąż, głos prawdy, uczciwy, albo raczej zrealizowany był w Ojczyźnie swojej i w domu rodziców swoich. *Trzeba bardzo czystego powietrza prawdy* ażeby skutek ten nastąpił, — *i trzeba urobienia wybornego powściągliwości*, aby miejsce dla głoszącego prawdę się znalazło. Na każącego Skargę o tym stanie Polski, w jakim ją dziś widzimy, butna szlachta polska porywała się — nie wierzono, aby naród wielki — rozproszony po świecie chleba żebrał... Powietrze prawdy może się do tyła zanieczyścić, iż nic się wznioślejszego nie rozwinie w narodzie, aż przez Sokratejskie zwycięstwo nad narodem własnym... Takich zwycięstw stopniowe umorzenie, przez wcielenie dobra i rozjaśnianie prawd, przyprowadzić winno do uniepotrzebnienia męczeństw — to jest POSTĘP."

PAWEŁ JACHOWICZ

Prenumerata miesięczna: 2 sh. 10 d., kwartalna 8 sh. Ceny ogłoszeń: Tekstowe: 1 ca przez 1 łam — £ 2 sh. 10. Poszukiwanie osób i pracy: do 20 słów — 7 sh. 6 d. Za zamieszczanie dwukrotnie — 11 sh., za trzykrotne — 13 sh. 6 d. Za każdych następnych 5 słów — 2 sh. zamieszczone dwukrotnie — 3 sh., trzykrotnie — 3 sh. 6 d. Różne: jedno słowo. Rękopisów nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmian w artykułach — bez naruszenia myśli autora. Adres Redakcji i Adminsitracji: 21, Earl's Court Square, LONDON, S.W.5, Tel.: FLA 1509. Redakcja przyjmuje tylko w poniedziałki, środy i piątki — od godziny 11 do 12.

Published by Catholic Publishing Comittee. Printed by M. Caplin and Co. Press Ltd., 15 Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey